W numerze: Wędrówki absolwentów • Londyńskie popołudnia • Maki • Głuszec na gałęzi • Tak jest w teorii • Telegraf dżungli • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

Nr 15 (391)
18. IV. 1965
10 stron
Cena 2 zł

TYGODNIK ROK VIII

Wesołych Świąt!

JANUSZ ROSZKO

Wszystko przez Borutę

Czarny samochód przeleciał obok mnie jak smok ognisty, wzniecając obłok kurzu. Z daleka widać było hałdy, wieże wyciągowe z rozpędzonymi kołami na szczytach i romańskie wieże kolegiaty. Gdy pył opadł z czarnego samochodu nie było już ani śladu, mogłem natomiast odczytać tablicę: Łęczyca. Za tablicą — jakieś kilkadziesiąt metrów — młody chłopiec w górniczym uniformie usiłował uspokoić spłoszone i spienione konie. Niebieska czapka z dwoma skrzyżowanymi młotkami leżała na samym środku szosy. Obok niej kilka pomidorów. Podałem mu czapkę.

— Żeby go jasny! Przeleciał jak diabeł! — mruknął młody górnik i wziął czapkę. Wiedziałem, że mówi o czarnym, wielkim aucie.

Usiadł na koźle i zaciął konie. Na wozie stały równo ułożone skrzynki pełne pomidorów. Oto dziwna rzecz: górnik powozi wozem pełnym pomidorów, które na pewno nie zostały wykopane w kopalni. Zdążyłem jeszcze spytać:

— Czyje te pomidory?

— Ojcowe — odkrzyknął, bo konie już zerwały się do biegu.

Tak oto na samym początku rzeczywistość Łęczycy ułożyła mi się w pomnik. Górnik na badylarskim wozie. Pomnik konny; a nawet dwukonny. Z dyszlem.

Rzeczy sprzeczne ułożyły się w jedność, tragiczne rzekomo antynomie okazały się wymyślone za biurkiem. Przecież tu miała być wielka wojna, odwieczna, między badylarzami i górnikami. Więc skąd ten górnik na badylarskim wozie?

Wszystko to wyjaśnię — powiadam sobie. Trafię niedługo na ślad. Nie zauważyłem tylko znaków rejestracyjnych czarnego samochodu. To był chyba czarny „Wartburg"...

Poszedłem najpierw złożyć wizytę na zamku, nie dlatego, żeby się przypodobać miejscowemu biesowi, nie byle jakiemu, bo szlacheckiemu Borucie, który chadza w kontuszu i przy karabeli, a mieszka właśnie w zamkowych lochach. Chciałem zacząć od złożenia wizyty pani magister Jadwidze Grodzkiej, kustoszowi muzeum, która z Borutą do spółki współgospodarzy na zamku. Idąc do zamku spostrzegłem, że czarny

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY WAWRZAK

Selfmademan, technokrata, działacz?

Selfmademan, technokrata w skali rolniczego powiatu, czy z prawdziwego zdarzenia działacz gospodarczy i partyjny? Sceptycy mówią, że prawda zwykle leży pośrodku. Zobaczymy, ile w tym racji.

Jeśli on, inżynier Henryk Sienkiewicz, zdecydował się przejść do tej pracy, tak sądzę, musiał to mieć już dobrze ułożone w głowie, przemyślane i niejako sprawdzone w swojej wyobraźni i na tym jakby doświadczalnym poletku warsztatów szkolnych. Bo inaczej nie powinien ruszyć się z tego miejsca, żaden normalny człowiek nie powinien dać się namówić na podobną imprezę. Zostawić ciepłą posadkę za cztery tysiące, gdzie już znał wszystko na pamięć, każdy swój krok i decyzję między godziną ósmą a piętnastą, a wziąć sobie na głowę tak zabagniony zakład, z załogą w tym momencie jeszcze liczbowo niewielką, ale przez to wcale nie łatwiejszą w kierowaniu.

Tak było: magazyny rozsadzone przez wyroby — „buble" na trzy miliony złotych, ciągłe przestoje z braku synchronizacji między działami, a spiętrzenie zadań pod koniec miesiąca, „położone" normy technicznie uzasadnione, kominy płacowe.

Obrazek ciemny, chociaż nic nie przeczerniony. Wstawmy go jeszcze na chwilę w szersze tło, panoramę owego dziwnego miasteczka i jego mieszkańców, bo przyjdzie nam się później do nich odwołać.

Praszka leży na samej granicy z Opolskiem. Płytka, ale kapryśna wiosną Prosna dzieli ją na dwie nierówne części. Kiedyś była tu prawdziwa granica, dzięki czemu ta osada ciasno ściśniętych domów, nad którymi górowała wieża kościoła i żydowska synagoga, uzyskała wspominaną jeszcze do dziś nazwę miasta przemytników. To właśnie gdzieś w pobliżu meandra tej rzeczki spacerowała po rozległych łąkach pani Pola Gojawiczyńska, żona komendanta straży granicznej (sławna pisarka napisała kilka opowiadań opartych o praszkowskie realia). A z miejsca gdzie teraz stoją budynki szkoły zawodowej padły pierwsze strzały pamiętnego września. W czasie wojny prawie połowa mieszkańców — Żydów podzieliła znany los zgotowany im przez hitlerowskich oprawców.

Niemcy zajęli się także „aktywizacją" gospodarczą Praszki. Wybudowali nawet młyn kulowy do granulacji niskoprocentowej rudy żelaza. Marny musiał to być jednak interes, bo szybko od niego odstąpili. Zabudowania jednak pozostały. Ciasne, nie przystosowane do niczego, ale wystarczające i tak na wprowadzenie w roku 1956 pierwszych brygad nowo powstałego Zakładu Elektrotechniki Motoryzacyjnej.

Trzeba zwrócić uwagę na ten moment, bo nie było to już od dawna miasteczko — hotel czy żywiciel idących tędy „na Saksy", dzięki którym egzystowali tu liczni piekarze, szewcy, krawcy, masarze, nie wspominając o właścicielach szynków. Nie było już „handlu" z partnerami zza rzeki. Za robotą trzeba było jechać na Śląsk lub do opolskich miast: Kluczborka i Olesna.

Powstała więc na miejscu szansa na zaspokojenie głodu pracy, warunki dla powstania klasy robotniczej z prawdziwego zdarzenia, otworzyły się jakieś nowe możliwości dla biedujących na karłowatych gospodarstwach chłopów ze Strojca, Kowali, Przedmościa czy Wygiełdowa.

Zakład wyrósł na dobrych podstawach: miał istotnie ważny profil produkcyjny — osprzęt elektryczny do prawie wszystkich typów produkowanych w kraju samochodów. W krótkim czasie na lampy stop, migacze, odblaski, sygnały, wyłączniki, filtry produkowane przez ZEM czekał Żerań, Sanok, Starachowice, Lublin. Niestety, czeka-

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Kilkudniowy pobyt w Polsce delegacji radzieckiej z L. Breżniewem i A. Kosyginem na czele oraz podpisanie nowego układu między Polską i ZSRR o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy jest wydarzeniem najwyższej rangi. Dotyczy ono nie tylko obu bezpośrednio zainteresowanych stron, lecz ma także poważny aspekt międzynarodowy. I na tych właśnie

dwóch płaszczyznach chciałbym omówić znaczenie wydarzeń ostatnich dni.

U podstaw nowego układu, zawartego na okres dwudziestu lat, leży wysoka ocena wyników dotychczasowej współpracy polsko-radzieckiej, której zasięg i formy określił układ z dnia 21 kwietnia 1945 roku. Trudno byłoby w tym komentarzu podjąć się rekapitulacji całego dwudziestolecia, tym bardziej, że okres, który minął, dzieli się na wyraźne etapy: odbudowy kraju z wielkich zniszczeń, stabilizacji gospodarki, a następnie stałego jej rozwoju. W każdym z tych etapów formy braterskiego współdziałania były inne.

Odnosi się to właściwie do wszystkich trzech podstawowych dziedzin, objętych układem: politycznej, ekonomicznej i kulturalnej, chociaż najwyraźniej występuje w dziedzinie ekonomicznej.

Droga, którą tu przebyliśmy, prowadzi od jednostronnej pomocy radzieckiej w dniach, kiedy brakowało nam dosłownie wszystkiego — do stania się poważnym partnerem handlowym ZSRR. Dlatego też wyliczanie jakichkolwiek liczb, ilustrujących rozmiary wymiany towarowej między naszymi krajami, nie może doskonale zobrazować znaczenia układu. Mimo to trudno od nich uciec.

Z arytmetyki współdziałania gospodarczego wynika, że w ciągu minionych 20 lat Związek Radziecki dostarczył Polsce:

— 70 milionów ton rudy żelaza
— 27 mln ton ropy i jej produktów
— 1,5 mln ton drewna
— ponad 100 kompletnie wyposażonych obiektów przemysłowych
— częściowe wyposażenie dla ok. 200 zakładów.

Już tylko z tych liczb widać, jak na dłoni, że podstawowy kierunek radzieckiego eksportu do Polski — to zaopatrzenie surowcowe i rozwój przemysłu. Nie trzeba chyba przy tym przypominać, jak bezcenna była dla nas pomoc specjalistów ZSRR przy uruchamianiu nowych zakładów i jak wiele skorzystaliśmy, wysyłając ok. 7 tysięcy naszych fachowców na praktyki do Związku Radzieckiego.

Wreszcie, a ma to w ekonomice kolosalne znaczenie, dodać trzeba, że wszystkie radzieckie dostawy realizowane były na bardzo dogodnych dla nas warunkach, przy najniższej, jaką zna światowa praktyka, stopie procentowej.

Bardzo korzystnie dla Polski kształtuje się również nasz eksport do Związku Radzieckiego. Jego struktura jest świadectwem przemysłowej pozycji Polski. I tak np. sprzęt inwestycyjny stanowi 51% wywozu, artykuły przemysłowe — 20%, podczas gdy rolno-spożywcze zaledwie... ok. 2%. Pozostała część przypada na paliwa i surowce, w tym przede wszystkim węgiel, który w dużym stopniu jest naszym środkiem płatniczym i którego wyeksportowaliśmy w ciągu 20-lecia 130 mln ton.

Tak więc ze słabego, niewiele znaczącego partnera w pierwszych latach po wojnie, staliśmy się pełnowartościowym kontrahentem, zajmującym trzecią lokatę w radzieckim handlu zagranicznym.

Oczywiście, ekonomiczna strona współpracy polsko-radzieckiej, której poświęciłem nieco więcej uwagi, jest tylko częścią sojuszniczego działania.

Inna, obszerna płaszczyzna — to polityka zagraniczna. Zbieżność celów i metod ich osiągnięcia znalazła wyraz we wzajemnie popieranych inicjatywach, zmierzających do zapewnienia pokoju i nietykalności naszych granic zachodnich oraz utorowania drogi pokojowemu współistnieniu, a także w utworzeniu wspólnego systemu obrony przed ewentualną agresją, który powołany został do życia Układem Warszawskim.

Nowy układ, podpisany 8 kwietnia, którego pełny tekst znajdzie Czytelnik na łamach prasy codziennej, otwiera perspektywy dalszego umocnienia wieczystej przyjaźni, ścisłego współdziałania w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i kulturalnej oraz — co bardzo istotne — może, by posłużyć się określeniem Władysława Gomułki, „przyczynić się do szerszych konstruktywnych rozwiązań pokojowych w skali naszego kontynentu".

I to jest właśnie jego międzynarodowy aspekt, tak szeroko obecnie podejmowany w komentarzach zagranicznych.

W komentarzach tych zwraca się również uwagę na fakt, że zarówno w samym tekście układu (...Jednym z podstawowych czynników bezpieczeństwa europejskiego jest nienaruszalność granicy państwowej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Odrze i Nysie Łużyckiej (z art. 5), jak i w wystąpieniach radzieckich mężów stanu we Wrocławiu i Warszawie tak stanowczo podjęto sprawę naszej zachodniej granicy.

Oczywiście, najżywiej reaguje na to prasa zachodnioniemiecka, podkreślając, jakby tego nie wiedziano i przedtem, definitywny charakter granic Polski.

*

Warszawska wizyta najwyższej delegacji ZSRR — prócz układu, zdecydowanie potwierdzającego braterstwo i solidarność naszych państw — przyniosła również rozmowy na temat innych zasadniczych problemów dnia dzisiejszego. I tak omówiono sytuację, jaka wytworzyła się po amerykańskich próbach przeniesienia wojny na terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu, stwierdzając gotowość wydatniejszej pomocy dla obrony jej terytorium, oraz niektóre problemy jedności międzynarodowego ruchu robotniczego.

Komunikat o rozmowach podkreśla pełną jednomyślność i identyczność poglądów obu stron.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA,
4 kwietnia

◇ W czasie kolejnego pirackiego ataku lotnictwa USA na terytorium DRW grupa północno-wietnamskich myśliwców uderzyła na formację amerykańskich bombowców. W czasie walki powietrznej wietnamskie „MIGI" zestrzeliły dwa supernowoczesne samoloty amerykańskie F-105-S. Oficjalne koła amerykańskie — pisze AP — są zażenowane, ponieważ w tym starciu lotnictwo amerykańskie nie wypadło najlepiej. Zakłopotanie pogłębia fakt, że dwa nowoczesne samoloty amerykańskie zestrzelone zostały przez myśliwce typu stosowanego jeszcze w okresie wojny koreańskiej.

◇ Jugosłowiańska Agencja TANJUG podkreśla w komentarzu swego nowojorskiego korespondenta bierność ONZ wobec kryzysu wietnamskiego. „Mimo rozszerzenia operacji, i najpoważniejszego zagrożenia pokoju światowego, w ONZ wyczuwa się całkowitą bierność i nie podejmuje się akcji, których należałoby normalnie oczekiwać po pospiesznym choćby przeczytaniu Karty Narodów Zjednoczonych".

◇ Czou En-lai dla agencji MEN: Jeśli ONZ nie naprawi swoich błędów i nie ulegnie całkowitej reorganizacji, to idea stworzenia Rewolucyjnej Organizacji Narodów Zjednoczonych będzie się nadal rozwijała.

PONIEDZIAŁEK,
5 kwietnia

◇ Od 1 kwietnia br. w czechosłowackim przemyśle węglowym i kopalnictwie rud wprowadzono 44-godzinny tydzień pracy.

◇ Były wiceprezydent USA Nixon zwrócił się z apelem do członków partii republikańskiej o poparcie polityki prezydenta Johnsona wobec Wietnamu.

◇ Angielski „Tribune" o Johnsonie: Johnson zachowuje się teraz w Azji południowo-wschodniej w taki sam sposób, jakiego większość ludzi oczekiwała raczej od Goldwatera, gdyby został prezydentem.

◇ W Pekinie wystawiono na widok publiczny amerykański samolot wywiadowczy, działający bez pilota, zestrzelony nad obszarem ChRL. Agencja SINHUA pisze w związku z tym, iż wystawa stanowi: „poważne ostrzeżenie wobec bandytów USA, którzy obecnie rozszerzają pożogę wojny agresywnej w Indochinach i stale dokonują prowokacji wojskowych przeciwko Chinom".

◇ Dzięki pięciokrotnemu zwiększeniu produkcji jaj, na Kubie po raz pierwszy od momentu wprowadzenia racjonowania żywności, w związku z amerykańską blokadą gospodarczą wyspy, hawańskie sklepy spożywcze rozpoczęły wolną sprzedaż tego artykułu.

WTOREK,
6 kwietnia

◇ Pracownicy biur Parlamentu jugosłowiańskiego utworzyli radę pracowniczą. Powstała ona na mocy nowej ustawy, która przewiduje rozszerzenie systemu samorządu na instytucje administracyjne. Jest to pierwszy wypadek wprowadzenia samorządu w najwyższym organie przedstawicielskim.

◇ Przedstawiciel północnowietnamskiego Frontu Wyzwolenia w wywiadzie dla „Newsweek": „Nie może być mowy o negocjacjach na temat przyszłości Wietnamu, dopóki nie wycofają się stamtąd wojska amerykańskie i dopóki FWN nie zostanie uznany za prawomocny rząd południowego Wietnamu. Kontrolujemy przecież trzy czwarte południowego Wietnamu i mamy za sobą poparcie 2/3 jego ludności".

◇ Na początku bieżącego roku ponad 100 tysięcy osób zapisanych było w CSRS na listy oczekujących przydziału samochodu.

◇ Wydana ostatnio w Pekinie książka telefoniczna, zawiera 27 tysięcy numerów, w tym 450 prywatnych.

ŚRODA,
7 kwietnia

◇ Zachodnioniemiecki Bundestag odbył znowu po sześciu latach swe prowokacyjne posiedzenie plenarne na terytorium Berlina zachodniego, który jak wiadomo nie jest integralną częścią NRF.

◇ Jak doniosła Agencja ADN pierwszy etap wspólnych ćwiczeń jednostek wojskowych NRD i ZSRR zaplanowany w terminie od 5 do 11 kwietnia

Ślepy prowadzi zaślepionego.
(przysłowie ang.) „Observer"

został zakończony. Udział licznych jednostek obu armii i konieczność szybkiego przemieszczania ćwiczących wojsk spowodowała konieczność okresowego wstrzymania ruchu na autostradach i szosach przebiegających m. in. między Berlinem zachodnim a zachodnią granicą NRD.

◇ W posiadaniu „tajnej ochrony prezydenta USA" znajduje się lista 130 tysięcy osób i ugrupowań, które mogą zagrażać życiu prezydenta. Przewiduje się, że do grudnia 1966 r. liczba ta wzrośnie do 200 tysięcy. W specjalnej kartotece zgromadzono nazwiska 800 „szczególnie niebezpiecznych" osób.

CZWARTEK,
8 kwietnia

◇ W Warszawie, w Sali Kolumnowej Urzędu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu, o godz. 15,45 podpisany został nowy układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską a Związkiem Radzieckim na okres 20 lat. Układ podpisali ze strony polskiej I Sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka i Prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz. Ze strony radzieckiej — I Sekretarz KC KPZR Leonid Breżniew i Przewodniczący Rady Ministrów ZSRR Aleksiej Kosygin.

◇ Nowy ambasador radziecki we Francji Walerian Zorin przybył do Paryża. W czasie śniadania wydanego przez ambasadora Francji w Moskwie na cześć nowego ambasadora ZSRR w Paryżu, minister Gromyko oświadczył: „Francuzi, tak samo zresztą jak obywatele radzieccy, powinni odpowiednio ocenić stopień jaki osiągnęły stosunki pomiędzy obydwoma krajami... Byłoby dobrze, gdyby mogli uznać tę sytuację za coś w rodzaju trampoliny — aby stosunki nasze uległy polepszeniu".

◇ Parlament jugosłowiański ratyfikował umowę podpisaną w styczniu br. z rządem Francji w sprawie zatrudnienia robotników jugosłowiańskich we Francji.

PIĄTEK,
9 kwietnia

◇ Republikański Komitet Izby Reprezentantów dla spraw NATO ogłosił oświadczenie, w którym stwierdza się, że USA nie zdołały uzyskać niczego co by przynajmniej przypominało poparcie ze strony członków NATO dla amerykańskiej polityki w Wietnamie. Praktycznie rzecz biorąc Stany Zjednoczone są osamotnione. Niektórzy zaś sojusznicy — czynami w oświadczeniu — działają w kierunku przeciwnym USA.

◇ Przeprowadzane od 18 marca w Kongu wybory do parlamentu zostały zawieszone w kilku prowincjach. W stolicy kraju — Leopoldville, zawieszenie wyborów nastąpiło w związku z tym, iż w przewidzianym dniu wyborów w wielu lokalach wyborczych nie było list, urn, bądź nie stawili się członkowie komisji wyborczej.

◇ Prezydent Peru wydał dekret zawieszający gwarancje konstytucyjne na przeciąg 30 dni na obszarze całego kraju. Przyczyną tego kroku były demonstracje studentów protestujących przeciwko podwyżce opłat za przejazdy miejskimi środkami transportu.

◇ Ministerstwo Handlu USA podało do wiadomości, iż Rumunia wpisana została na listę krajów, do których wolno będzie eksportować amerykańskie nadwyżki rolne w ramach transakcji wymiennych.

SOBOTA,
10 kwietnia

◇ Przed Podsenacką Komisją Prawną USA toczy się śledztwo w sprawie kontrolowania prywatnej korespondencji przez urzędy pocztowe USA. Członek Podkomisji senator E. Long oświadczył w związku z tym, że „współcześni Amerykanie są tak bardzo inwigilowani i śledzeni..., że znajdują się jak gdyby w akwarium, w którym przez przezroczyste ściany śledzić można każdy ruch".

◇ Domy towarowe NRD zrzeszone w odpowiednim zjednoczeniu wystąpiły po raz pierwszy w tegorocznych wiosennych Targach Lipskich w roli samodzielnego importera towarów. Dziennik „Berliner Zeitung" zamieszczający tę informację sygnalizuje również inne zjawisko niemieckiego handlu: Czasy, kiedy obowiązywało hasło: eksport za wszelką cenę, minęły bezpowrotnie. Obecnie bada się opłacalność transakcji eksportowych, przebiera się w kontraktach na eksport.

◇ Agencja Reutera donosi z Helsinek, że b. wiceprezydent USA Richard Nixon, który bawił ostatnio w Finlandii udał się do Moskwy. Nixon oświadczył, iż jego wizyta w stolicy Związku Radzieckiego nie będzie miała charakteru politycznego.

POLONICA

ST. LEM NAJBARDZIEJ LUBIANY W ZSRR

W miesięczniku „Znanije i siła" w nr 2 z br. wychodzącym w Moskwie, a poświęconemu głównie wynalazkom, lotom kosmicznym, wielkim wydarzeniom historycznym lub sławnym ludziom, którzy przyczynili się do rozwoju nauki lub kultury, zostało wydrukowane opowiadanie Stanisława Lema pt. „Trzej rycerze elektryczni". Opowiadanie ilustrował A. Brusiłowski, jeden ze „speców" od rysunków fantastycznych. Należy przy okazji dodać, że Stanisław Lem cieszy się wśród radzieckich czytelników, i to nie tylko tych w wieku szkolnym, ogromną, nieslabnącą popularnością. Jego książki są porównywane do książek samego Jules Verne'a.

JERZY FICOWSKI W TEL-AVIVIE

Wychodzący w Tel-Avivie periodyk „Walka" w nr 3 z marca br. zawiera recenzję książki Jerzego Ficowskiego pt. „Rodzynki z migdałami" — zbioru żydowskiej poezji ludowej. Recenzent pisze: „Jerzy Ficowski dzięki swojej intuicji i pomocy filologów, trafnie odgadł treść i kształt żydowskiej poezji ludowej, a to że wielu pieśniom pozostawić zdołał ich pierwotny kształt rytmiczno-intonacyjny, tak że można je nawet śpiewać, jak się niegdyś śpiewało, jest szczególną zasługą poety-tłumacza".

Podkreślając walory tłumaczenia, gazeta podaje cztery wiersze z tego zbioru: Rodzynki z migdałami, Młoteczek, Tum-bałałajka i Złoty pawik.

„CZARNE TULIPANY" ST. ZIELIŃSKIEGO PO ROSYJSKU

Miesięcznik „Literatura radziecka" wydawany w Moskwie w języku polskim przynosi w marcowym numerze recenzję książki Stanisława Zielińskiego „Czarne tulipany", która została wydana przez „Progres". Nad przekładem pracowało siedmiu tłumaczy. Przetłumaczono 30 opowiadań. Pisząc o stylu Zielińskiego, jego prostocie, a jednocześnie o lekkiej, ledwo dostrzegalnej ironii, autor recenzji podkreśla: „...doskonałymi mistrzami tego gatunku byli np. Maksym Gorki i Leonid Andrejew". Należy przyznać, że ocena jest bardzo wysoka zważywszy, że dotychczas utwory Zielińskiego były drukowane w nielicznych czasopismach rosyjskich.

POLONICA

WSZYSTKO PRZEZ BORUTĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

„Wartburg" stał w uliczce koło Rynku. Gdy dochodziłem właśnie ruszył i znowu znaki rejestracyjne pozostały nieodczytane. Wynikało z tego, że kierowca „Wartburga" szukał czegoś na zamku.

— Ten pani gość jeździ jak prawdziwy diabeł! — powiedziałem na powitanie pani Grodzkiej. Ale okazało się, że dzisiaj jeszsze nie miała żadnych gości. Poza tym nikt z jej pracowników nie posiada jeszcze czarnego „Wartburga". Ale...

— Może jeszcze był ubrany w czarny garnitur i miał kapelusz na głowie?! — śmieje się pani kustosz.

— Naprawdę, nie zauważyłem.

— Takie szczegóły są bardzo istotne — powiada, a potem pokazuje opracowaną przez siebie książkę o legendach łęczyckich.

W tych opowieściach współczesnych Boruta już nie występuje w kontuszu i przy karabeli, nawet i nie w harcapie. Czarny garnitur i kapelusz na głowie.

— Więc zawsze pan. Strój się zmienia, ale przynależność klasowa naszego diabła zawsze ta sama — konkluduje pani Grodzka.

— Wynika z tego, że czarnym „Wartburgiem"...

— Nic nie wynika. Powiem panu jedną rzecz. W dzień chłopi i górnicy się śmieją z Boruty i jego istnienia. Ale gdy tylko nastanie zmrok — wtedy nie ma odważnych...

Jestem na tropie. Na pewno jestem na tropie.

* * *

W knajpie przyszło mi się spotkać z pewnym miejskim notablem, który zaczął tak: „Nie wiem, czy panu wiadomo, że Łęczyca — to znaczy powiat i miasto — eksportuje warzywa do 30 państw świata. Głównie cebulę i marchew?!" Z początku postanowiłem zlekceważyć to oświadczenie aby przejść do rzeczy.

— A jakie tu stosunki panują w Łęczycy?

To miało go naprowadzić na sprawy rozrób Boruty. Ale odpowiedział:

— Stosunki w Łęczycy, jak w powiatowym mieście. To znaczy stosunki w Łęczycy są różne...

Można to uznać za uniwersalną złotą myśl o miastach powiatowych w całej Rzeczypospolitej.

— A ci co eksportują te warzywa — z kim wojują?!

— Oni wojują z górnikami.

Wynikałoby z tego, że kmiecie dawniej maltretowani przez Borutę — teraz weszli z nim w pakt nieagresji. Przeciwko nowym, przeciw intruzom.

I tak znalazłem się w przepaścistym domostwie na przedmieściu — za parkiem, przy drodze do Topoli u nestora łęczyckich badylarzy, Kamińskiego.

* * *

Jest wysoki, postawny, prawdziwy possesionatus: wąs, czupryna siwa, oko niebieskie spłowiałe. Marynarka z „cziczunczy", jaką nosili dawniej rządcowie na folwarkach, nieodłącznie z kapeluszem „panama". Ale Kamiński swoją postawą mocarną przypomina nie rządcę...

Przepaściasty dom na przedmieściu postawił dziadek Kamiński, lekarz pułku, syn zesłańca z 1831 roku carskiego, jakieś 100 lat temu. Ojciec Kamińskiego był pierwszym, który znając walory tutejszej ziemi rozpoczął sławną erę łęczyckiego warzywnictwa. On i Jasiński, do nich przyjeżdżali po poradę gospodarze z Tumu i Topoli, uczyli się...

— Woziło się do Łodzi warzywa. Codziennie. Jak był urodzaj to i 3—4 wozy dziennie. Jak była nadprodukcja — zostawiało się na placu, żeby koni nie męczyć — darmo. Byle ceny nie zniżyć. Albo wywalało się do rowu po drodze.

Owe opowieści o łęczyckich badylarzach zawierają ciekawe dość momenty. Oni uczyli Łódź, jak należy się odżywiać, wprowadzali — ba, dawali z początkiem niemal darmo — warzywa na stoły Łodzi. Wtykali rabarbar i instruowali co z tego robić, bo łodzianie nie chcieli w ogóle patrzeć na te „łopuchy". Trudno ich było przekonać do pomidorów. Ale to wszystko lata jeszcze sprzed I-szej wojny.

Po ostatniej wojnie Kamiński został jednym z członków założycieli spółdzielni warzywniczej „Bzura". Był prezesem Rady Nadzorczej, teraz jest przewodniczącym Komitetu Członkowskiego. Spółdzielnia liczy 4000 członków. Prócz tego Kamiński, który rozkręcił Kółko Rolnicze stał się bezpłatnym dyspozytorem sprzętu — przyczep i traktorów, które bazują u niego na podwórku.

Nie jest na pewno sojusznikiem Boruty, głowę daję.

— Z górnikami to wojny żadnej nie ma. Konflikty? Ot, idą od szybu przez pola, ten i ów urwie marchew czy ogórek. W biały dzień ich dzieciaki koło szybu nakradły cebuli. Skrzyczałem ich. Nie widziałem, że niedaleko są ich mamy. „Co pan, te trochę cebuli żałuje..." — powiadają. Nie żałuję, ale rozchodzi się o uczciwość, o wychowanie...

Jestem na bardzo delikatnym tropie.

* * *

Istniały przypuszczenia, że... być może w okolicy Łęczycy, w paśmie Jury Kutnowskiej występują pokłady rudy żelaznej.

W kwietniu i maju 1954 r. przeprowadzono pierwsze wiercenia badawcze, a w październiku na polach stało już 40 trójnogów. Złoża okazały się dość bogate. Wszyscy w Łęczycy dziwili się — kto by się spodziewał, że skarby Boruty — to właśnie ruda żelazna?!

Skoro pojawiła się ruda — musieli pojawić się górnicy. Mgr inżynier Leszek Wysłocki, obecnie zawiadowca kopalni Ł-2 przyjechał tu bezpośrednio po studiach odbytych w murach krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Przypomina sobie, że miasteczko przyjęło ich wrogo, patrzyło nieufnie. Nie, nie okoliczni badylarze, czy nawet łęczycy. Właśnie to drobne, miejscowe mieszczaństwo patrzyło z ukosa. A badylarze jakoś osobliwie.

Bo przecież schodzili na drugi, mniej ważny plan i stąd może brał się u nich pewien osad goryczy i niechęć wobec górników. A może się mylę?!

* * *

Skoro ruda okazała się wielką szansą podźwignięcia Łęczycy — zrobił się ruch, postawiono wieże wiertnicze, po okolicznych drogach pędziły wywrotki, na ulicach słychać było charakterystyczne śląskie „pierunowanie". Szansa: budowa dziesiątków nowych bloków, zatrudnienie dla setek ludzi. A na razie kręcili tym całym interesem górniczym ludzie obcy, przybysze. Przeważnie górnicy z częstochowskiego zagłębia.

Górnicy mieli forsę, zarabiali przecież nieźle, chodzili z pełną kiesą i oni teraz byli górą. Panny łęczycanki były urodne, ładniejsze od śląskich frelek i nie miały serc nader twardych. Pierwszy rzut owych górników nie składał się jednak z kryształowych charakterów i świetlanych sylwetek. Najlepszych ze Śląska tu nie przywieziono. Po pracy, nie mając tutaj domu ani rodziny — szli do knajpy i trabili gorzałę.

Młodzież znalazła się w kręgu górniczych zabaw. Młodzież, która dotąd tułała się bezczynnie, szlifowała bruki — z braku lepszego zajęcia. Niektórzy szli do kopalni, niektórym wystarczały wspólne z górnikami biesiady. Ale z początku chyba poszło im o panny łęczyckie. Gdy górnicy solidnie podgazowani wracali do swoich kwater — temu i owemu młodzi łęczycanie „wtłukli na wiwat", albo też niesportowo, w celu przywłaszczenia nadwyżek finansowych i wyrównania dysproporcji w tym względzie, które to metody nie są godne w żadnym wypadku pochwały.

W owym okresie pijatyk górniczych, bałaganu towarzyszącego rozwijającej się budowie kopalń — działał też znakomity kompan do wypitki i do wybitki, chluba rozrabiaczy łęczyckich, arcychuligan Milczarek, o którym jego własny tata powiadał: „ma on dwa żebra okrągłe, nie daje się nikomu zabrać ani złapać!" W owych to czasach, kiedy dwadzieścia kilka „babek" prowadziło pokątną sprzedaż wódki dla górników i budowlańców, a po miasteczku grasowali takie asy, jak żuliki zwane „Gapa", „Baran", i „Łysy" — Milczarek dokonał swego najgłośniejszego czynu, za który beknął straszliwie.

Otóż dopadł w gospodzie górnika Zawiślaka, wypchnął go na dwór i tam zaczął dokładnie demolować. „Bez dania racji uderzył Zawiślaka pięścią w zęby" — zeznał jeden ze świadków, który pobiegł zawiadomić Zawiślakową prowadzącą podówczas kiosk na ulicy 1 Maja. Dr Goral stwierdził pęknięcie podstawy czaszki. Inny zaś świadek zeznał: „Milczarek pobił pod gospodą górnika Zawiślaka Jana i tak się rozzłościł, że po drodze bije każdego na ulicy". Jak dziecię nieletnie ukrywał się potem pod pierzyną u mamy, skąd go pięknie milicja wyciągnęła za nogi.

Nie ulega kwestii, że to było następne wcielenie Boruty i od tego czasu bies tak boi się milicji. Po tej Milczarkowej rozróbie.

Całe miasto zaczęło okazywać górnikom coraz więcej niechęci. „Oni dostają radia i motocykle!" — narzekali. Były to jeszcze lata, kiedy radio czy motocykl zdobywało się w ciężkim trudzie, na talon. „Im się sprzedaje mięso spod lady, a dla nas zostają same ochłapy!" — narzekano niesprawiedliwie, gdyż były to czyste i wyssane z palca insynuacje.

Kiedy drążono już chodniki — poszła wieść, że drążone są pod miastem. „Zapadniemy się pod ziemię. My i nasze domy" — powiedzieli przerażeni mieszczanie i co gorliwsze dewotki ruszyły falą do kościołów, aby wyspowiadać się przed totalną zagładą.

Był w tym wszystkim jeden moment racjonalnej krytyki: chętniej przyjmowano do pracy ludzi z zewnątrz, niż z Łęczycy. Nie mówię o fachowcach — ale o pracownikach umysłowych. Miejscowym wynajdywano taki lub owaki haczyk w ankiecie. W ankiety zamiejscowych nie zaglądano pedantycznie. Oni jednak byli wyraźnie forowani, oni pierwsi dostawali mieszkania.

* * *

Kilkudziesięciu górników stanęło z łęczyckimi pannami na ślubnym kobiercu i wprowadziło swoje żony do nowych mieszkań, gdzie łazienka była objawieniem, a waterklozet symfonią patetyczną. Nowych bloków przybywało coraz więcej, rosła nowa Łęczyca w miejscu, gdzie od przedwojny stały sklecone z kawałków blach, desek i papy budy bezrobotnych. Nazywało się to „Abisynia".

Wydawało się, że wszystko układa się dobrze. Do kopalni zaczęto przyjmować łęczycan. Górnikami zostali chłopi z okolicznych wiosek, młodzi chłopcy z Łęczycy. I może nie stąd powstała się niechęć badylarzy do górników, że ci ostatni raźnie pomagali zbierać ogórki i pomidory z ogrodów Kamińskiego czy Kantorkowej i to pod nieobecność gospodarzy.

Gorsza klęska spotkała zacnych producentów ogórka, cebuli i marchewki. Oni, których produkty eksportuje Polska do 30 państw świata — zostali nagle postawieni w fatalnej sytuacji. Brak rąk do pracy. Buntowali się im synowie. Buntowali się parobcy, którzy przychodzili do pracy w polu. Szli pracować na kopalnię. Kiedy nadchodził sezon, każdy z ojców prosił synka: rzuć kopalnię, chodź pracować u mnie. Kupię motor, kupię nowe ubranie! Obiecywali złote góry. Syn rzucał kopalnię i wracał. Rotacja kadr była na kopalni ogromna. Płace za robociznę u badylarzy coraz wyższe. Młody górnik stoi koło kiosku z piwem, niedaleko hotelu robotniczego mocno zafrasowany. Podchodzę bliżej. Ten sam, który wiózł pomidory.

— Niech się kto inny trapi — powiada do kumpla. Ostatni raz końmi jadę. Niech się tata martwi. Kto widział, żeby górnik woził pomidory?!

Stary górnik, który sączy piwo przy narożniku kiosku woła:

— Pódź sam, synek. Ociu pomóż — nie wstyd!

— Górnik jestem!

— Dwa lata temu ino pelonkę-eś robił, a tera „wielki bergman"!

I po wymianie owych grzeczności rozmowa się urywa.

Ktoś przechodzi i woła:

— Piątkiewicz, Piątkiewicz, jutro będziemy robić rekord!

Starszy górnik się podrywa i biegnie. Tamci też odchodzą.

Piątkiewicz — najstarszy górnik w Łęczycy. No, ma wszystkiego 53 lata, ale 35 przepracował w kopalni. Tyle się o nim dowiedziałem.

A w kilka miesięcy później przeczytałem w gazecie, że brygada z kopalni rud żelaza w Łęczycy wyrąbała 539,5 metra długości chodnika w miesiącu październiku 1964 r. Pobili rekord Polski i podobno — świata. Najmłodsze zagłębie w kraju. Uczniowie Piątkiewicza, który jeszcze w 1957 roku przyjechał tu z kopalni „Maria" pod Częstochową pokazać, jak się drąży podziemne drogi.

* * *

— Co pan ciekawego znalazł? — pyta mnie pani Grodzka w sędziwych murach zamku.

— Trochę śladów Boruty. Ale czarnego samochodu wciąż nie ma.

— Na tym polega cały dowcip i tajemniczość tej historii.

— Hmmm... — powiada reporter i śmieje się głośno, bowiem jest jeszcze biały dzień, a w biały dzień wolno się śmiać z Boruty i wcale nie straszno.

— Stwierdziłem jeszcze, że nie ma w Łęczycy klubu dla inteligencji górniczej, ani rozrywek. To zresztą inna sprawa.

— Kultura zaczyna się od dobrej komunikacji. Wahadłowo kursująca lukstorpeda, czyli pociąg motorowy do Łodzi i wszystkie sprawy kulturalne się automatycznie rozwiążą. 30 kilometrów drogi!

* * *

Tymczasem pod ziemią zbudowano już prawie 50 kilometrów chodników. Drugą Łęczycę. Ruda jechała talbotami do Huty imienia Lenina, do huty „Pokój", do huty „Szczecin"... Ruda łęczycka, diabłu wydarta, niewysoko procentowa — 22 — 30 proc. ale z dużymi dodatkami topników i bez zawartości krzemu, który niszczy wielkie piece. Ale kopalnia rozwija się, dochodzi do grubszych pokładów rudy. Bowiem i to można policzyć na koszt Boruty: zaczęto eksploatację od obrzeży rudonośnego placka, tam gdzie warstwa jest najcieńsza.

Magister inżynier Wysłocki, zawiadowca łęczyckiej kopalni uśmiecha się i nic nie mówi. Z jego uśmiechu wynika, że nie będzie tak źle.

— A co z Borutą, przeszkadza jeszcze?

— Nie takim górnicy dawali radę.

* * *

Zniknęli z witryny fotografa, pana Zbigniewa Tarnowskiego — wąsaci antenaci łęczyckich badylarzy. Przyszedłem szukać signum temporis — fotografii górników w strojach paradnych, w czapkach z pióropuszami, żon górniczych w welonach. Pan Tarnowski opędzał się od much, w jego zakładzie pachniały odurzająco lewkonie, meble były sprzed wieków, lakierowane na biało kredensy i cisza.

„Kto dzisiaj, proszę pana, przychodzi się fotografować od parady? Co drugi człowiek ma własny aparat. Ot, przyniosą amatorskie zdjęcia do powiększeń. Krucho". Na witrynie nie było górników, ani badylarzy. „Szał górniczy już przeminął — powiada Tarnowski. — Miałem jeszcze niedawno jednego werblistę z górniczej orkiestry ale zdjąłem. To już dzisiaj żadna atrakcja dla Łęczycy!"

Wychodzę z zakładu pana Tarnowskiego i omal nie ląduję na dachu czarnego „Wartburga", który stoi tuż obok. Przez okno wysuwa się w moim kierunku łapa... pardon, ręka i słyszę przyjacielski okrzyk: „Czołem! Szukam cię właśnie, bo słyszałem, że jesteś w Łęczycy!"

Był to mój przyjaciel Zbyszek Chyliński z Łodzi, właściciel czarnego „Wartburga" i garnituru marengo. Miał jeszcze czarny parasol — ale o czarnym parasolu w tym reportażu nie było mowy.

JANUSZ ROSZKO

Selfmademan, technokrata, działacz?

Dalszy ciąg ze str. 1

li... Mimo że był już największy czas na przyzwoitą robotę, bo zaczęły się sypać rocznice uruchomienia zakładu, a w nim nadal, jak to się mówi w takich okazjach, coś nie grało. Przeszłość jest zawsze ocenić łatwiej, na przeszłość chętnie się zwala wszystkie winy. Wtedy musiało to być nie takie proste. Bo ile to upłynęło czasu nim poznano się na dyrektorze K., niepoważnym fantaście, czarodzieju słowa a w gruncie rzeczy małym człowieku. Jak długo tolerowano dyrektora S., swoistego stoika, który założył sobie specjalną teczkę na przysyłane mu upomnienia i który otrzymując taki papierek wpinał go do tej teczki i jechał do „Praszkowianki" na pół litra.

Zakład się jednak rozwijał, powstawały nowe działy, zakupywano maszyny i urządzenia, rosła liczbowo załoga. Cały czas z tą kulą u nogi, która było nie tak łatwo zidentyfikować, pod pręgierzem gromów ze zjednoczenia, ciężarem kar umownych, strat... W krytycznym momencie myślano już w Warszawie o przekazaniu zakładu w gestię przemysłu terenowego.

Spytacie, co na to załoga, kierownictwo? No, cóż. Ofiarność nie zastąpi kwalifikacji, doraźne akcje i bicie w wielki dzwon planu, nie zastąpią naukowej organizacji pracy. Niskiej wydajności, kominów płac, bumelanctwa i partactwa, nie można zlikwidować bez wprowadzenia norm technicznie uzasadnionych. W tym gdzieś tkwił błąd, ponieważ technicznym nieudolnościom towarzyszyć musiała niewiara we własne siły, brak zaufania do kierownictwa, wzrastająca obojętność o losy zakładu, te wszystkie nieuchronne konsekwencje psychologiczne, których często się nie chce widzieć.

W takim to okresie, któregoś dnia inżynier Henryk Sienkiewicz usiadł przed biurkiem I sekretarza KP partii w Wieluniu. Myślę, że on już w tym momencie miał ten trochę irracjonalnie pojęty klucz do zakładu w kieszeni. Bo przecież z jego pokoju kierownika warsztatu szkoły zawodowej było do ZEM-u na odległość rzutu kamieniem. Inaczej by nie włożył dobrowolnie głowy w tę pętlę. A może prawda wygląda zupełnie inaczej? Może w naszym kraju wykształcił się już typ człowieka młodego nonkonformisty, wykształconego zapaleńca, który nie tylko dba o swoją małą stabilizację, ale który chce i potrafi podjąć najtrudniejsze nawet sprawy swego środowiska? Czy są to właśnie ludzie, którzy potrafili stworzyć samych siebie, czy potrafiła ich stworzyć Partia, w której szeregach wyrośli?

Za dużo może pytań. Henryk wstąpił do Partii po studiach, rozpoczynając pracę w warsztacie POM. Przyjęto go po burzliwej dyskusji, jednym czy dwoma głosami większości. Dlatego, że wychwalał technikę Zachodu i posiadał... francuski motocykl. Tak, to był rok 1955.

Więc tam musiał pójść. Był to, jak sądzę, przymus ambicji, jakiejś gry z samym sobą... Pociągnął za sobą ze szkoły Cześka Smoka, zdolnego i energicznego inżyniera, na zastępcę.

Pomyślcie, jakie oni w tych pierwszych dniach musieli mieć miny patrząc przez firanki w oknach swoich gabinetów, na pijących swobodnie przy kiosku piwo, na wałęsających się po placu ludzi, mając za plecami terkocące natrętnie telefony i tuż obok, w sekretariacie, tłumek agresywnych interesantów. Co on, Henryk, musiał myśleć podczas rannego obchodu, kiedy widział grupki robotników palących spokojnie papierosy i dopiero na jego widok ociężale rozchodzących się do swoich maszyn. Był to początek lutego. Zadania planowe marca zostały wykonane. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Nie wiem jak oni to zrobili? Cudów nie ma, musieli coś pokręcić z asortymentami, wydostać skądś pieniądze na godziny nadliczbowe. W każdym razie w obranym kierunku poszli na całego i „złapali plan", bo załoga musiała przede wszystkim zrozumieć, że wykonanie zadań jest możliwe, że nie święci lepią garnki. Gorzej było utrzymać ten poziom przez następne miesiące. Utrzymali jednak i nawet odrobili zaległości stycznia i lutego. Zdobyli pierwsze punkty w tej wojnie nerwów.

Fot. M. Holtzman

Henryk dostatecznie szybko wszedł w nową dyrektorską skórę, by zrozumieć, że nie wolno mu, jak robił to jeden z jego poprzedników, iść ze śrubokrętem na montaż i pomagać skręcać lampy czy oprawiać lustra. Zrozumiał, że najważniejsza w tym rzecz to jego inżynierska wyobraźnia, logika myślenia, uciekanie od schematu, wreszcie ryzyko i gra o duże stawki. Wysuwał więc na stanowiska najmądrzejszych, opierał się na ofiarnych, karał tych co zbytnio przywiązali się do starego porządku; lawirując chyba z powodzeniem, tak aby go nie posądzono o technokratyczne rządy i wykorzystując swoje umiejętności działacza.

Na pierwszy plan poszły normy. Wszyscy w zakładzie a nawet w mieście mieli na ustach ten skrót: NTU. Wprowadzą czy nie wprowadzą? Normy były już właściwie wcześniej, ale lepiej żeby ich nie było wcale. Chociaż może łatwiej coś poprawiać niż wprowadzać nowego.

Wprowadzili jednak na podstawowych działach. Dzisiaj myślą już nawet o pakowni i montażu.

A potem zaczęli robić porządek z „bublami". Odmrażać grube miliony. Powoli, systematycznie, według opracowanych harmonogramów, bez gorączkowego pośpiechu wyroby wracały do poprawek na poszczególne działy. Cierpliwość ta dobrze zakładowi zrobiła.

Zaczęli się tak kolejno wgryzać w problemy wiążące dotąd ręce zakładowi. W ten sposób doszło i do operacji likwidowania „wąskich gardeł". Tutaj przydały się inżynierskie dyplomy, rachunek ekonomiczny, wykorzystywanie własnych życiowych doświadczeń, jak i tych podpatrzonych w innych zakładach. Namęczyli się wszyscy zdrowo, ale opłacała się zmiana struktury organizacyjnej, obiegu dokumentacji, kontroli i rozliczeń — synchronizacja między działami zaczęła stawać się rzeczywistością.

Długie jednak tygodnie upłynęły nim na prasach, obrabiarkach, lakierni czy galwanizerni również zrozumiano, że rytmika pracy musi stać się świętym prawem.

I pewnie już by im się wydawało, że złapali Pana Boga za nogi, już Henryk kazał sobie i zastępcy urządzić efektowne gabinety, wymienić meble, założyć cepeliowskie story w oknach i chodniki zamienić na dywany, kiedy znów przyszła sprawa nowej produkcji. Kończył się bowiem rok a na przyszły nie było pokrycia w zamówieniach nawet na dotychczasową wartość produkcji. Co robić? Zmniejszyć produkcję, zwolnić ludzi, na dłuższy czas przyhamować rozwój zakładu. Czy podjąć ryzyko...

„Tylko spodni nie da się zdjąć przez głowę" — powiedzieli sobie w końcu, chociaż decyzja nie była łatwa i samorząd robotniczy podjął ją znając wagę ryzyka i trudności, których nikt przed nimi nie krył. Aktualnie FSC Starachowice chciała oddać produkcję pomp wodnych i paliwowych. Opłacalna (dotychczasowy drobny, ale szeroki wachlarz asortymentu napsuł im wiele krwi) ale niełatwa. Brakowało dobrych tokarzy, odpowiednio obszernej powierzchni produkcyjnej, doświadczenia...

Oczywiście zaryzykowali. Ludzie pojechali do Starachowic na szkolenie, do opróżnionego magazynu wstawiono obrabiarki, dobudowano hale. Kłopoty trwały długo. Nie liczono niedziel, o każdej porze można tu było spotkać kogoś z kierownictwa. Wszyscy jednak od robotnika do dyrektora przejęci byli w równym stopniu tą sprawą. I dzięki temu chyba obecnie Żerań, Starachowice i inne zakłady zawalone są pompami, już nie ZEM-u, bo zmieniono nazwę na Zakłady Sprzętu Motoryzacyjnego, a w technologicznej „Warszawie 203", która dyrektor Sienkiewicz osobiście prowadzi zamontowano już pompę ze sztucznego tworzywa. Jak się uda, będą duże korzyści i to nie tylko dla gospodarki zakładu. Znów jednak przyjdzie wywracać wszystko do góry nogami, w miejsce luzów produkcyjnych podejmować nowe zadania. Tak już, niestety, w zakładzie musi być. Nie można sobie pozwolić ani na moment wytchnienia, zadowolenia z wyników, nie do pomyślenia jest spoczęcie na laurach. Potrzebna jest stała czujność, uwaga równomiernie rozłożona na wszystkie sprawy. A więc i na uruchomienie szkoły przyzakładowej, „wykombinowanie" autobusu dla załogi, pierwszego bloku mieszkalnego, zorganizowanie stacji prób i badań, ciągłych przeróbkach i adaptacjach, świetlicy i orkiestrze, TOPL-u i bibliotece, nie mówiąc o tych zasadniczych dyrektorskich kłopotach: z inwestycjami, kooperacją, nadal zbyt jeszcze rozproszonym asortymentem, zadaniami, które przez ostatnie lata wzrosły prawie trzykrotnie.

Tak więc nadal dyrektor Sienkiewicz wraca późno służbową „Warszawą" do swojego Wielunia i nie zawsze ma już ochotę sięgnąć do ulubionych... wierszy Staffa, Broniewskiego, Przybosia, które potrafi godzinami recytować z pamięci swoim przyjaciołom. I takiego dnia popatrzy tylko chwilę w telewizor, sprawdzi odrobione lekcje Basi i Jurka, pogada z żoną i kładzie się spać zapadając szybko w zdrowy sen zmęczonego człowieka.

JERZY WAWRZAK

JULIAN BRYSZ

Wędrówki ABSOLWENTÓW

Przed rokiem weszła w życie ustawa o planowym zatrudnieniu absolwentów wyższych uczelni, a w ślad za nią — rozporządzenia wykonawcze. Nowe przepisy sprawiły, że nad Łodzią zawisła groźba odcięcia, a przynajmniej poważnego ograniczenia dopływu młodej kadry specjalistów.

Nie jest przypadkiem, że Łódź — wśród innych wielkich miast kraju — najboleśniej odczuwa skutki działania ustawy. Odsetek pracowników z wyższym wykształceniem jest tu wciąż najniższy. Powstanie ośrodka akademickiego w naszym mieście pozwoliło poważnie zmniejszyć różnice, dzielące nas od innych miast, ale nie zlikwidowało do końca smutnego dziedzictwa z okresu przedwojennego.

Poza tym trzeba mieć na uwadze, iż przemysł łódzki dopiero właśnie w ostatnich latach wkroczył na drogę zdecydowanych przeobrażeń: z jednej strony — modernizuje się włókiennictwo, z drugiej — powstają tu nowe specjalności, jak elektronika, przemysł maszynowy, itp.

W tej sytuacji brak fachowców może stać się czynnikiem hamującym dalszy rozwój naszej gospodarki. Że sprawa nie jest błaha, przekonają nas liczby.

Do terenowego bilansu siły roboczej na lata 1966—1970, łódzkie przedsiębiorstwa i instytucje zgłosiły zapotrzebowanie na 9,5 tys. pracowników z wyższym wykształceniem. Według teoretycznych obliczeń, uczelnie naszego miasta dadzą w tym okresie około 11,5 tys. absolwentów. Liczba ta wydaje się zawyżona, ale zostańmy przy niej. Dotychczas, jak wynika z obserwacji, zatrzymywało się w Łodzi na stałe mniej więcej 40% absolwentów. Przewidywano więc, iż wraz z przybyszami z innych miast, reprezentującymi specjalności, których nasze uczelnie nie prowadzą, Łódź otrzyma we wspomnianym okresie „zastrzyk" w ilości około 5,1 tys. fachowców. To zaledwie nieco więcej, niż połowa zapotrzebowania, ale to już byłoby dużo.

Wejście w życie ustawy o planowym zatrudnieniu, redukuje te nadzieje mniej więcej pięciokrotnie.

Według danych pełnomocnika Komitetu Pracy i Płac dla Uniwersytetu i Politechniki, te dwie uczelnie dadzą Łodzi w roku bieżącym nie więcej niż 280 absolwentów na ogólną liczbę około 780. W roku przyszłym i następnych liczba absolwentów, którzy będą mogli zatrzymać się w naszym mieście, spadnie do około 150. Jeśli dodamy jeszcze Akademię Medyczną i uczelnie artystyczne, wówczas „wyjdziemy" na około 200 osób. Zamiast tysiąca.

Tutaj już pora wprowadzić Czytelnika w zamierzenia i posunięcia władz centralnych, które doprowadziły do wytworzenia się takiego stanu.

Po zniesieniu nakazów pracy w roku 1956, zapanowała swobodna „gra sił rynkowych" w zakresie zatrudnienia absolwentów wyższych uczelni. Nie mogła ona przynieść właściwych społecznie rezultatów, gdyż wiadomo, że swoistą cechą większości ludzi po studiach jest chęć pozostania w wielkim mieście. Wrośli jakoś w to miasto podczas pięcioletniego okresu nauki, tutaj — mniemają — znajdą dla siebie najlepsze szanse realizacji zamierzeń życiowych. Pomińmy już nawet dalsze atuty, które decydują o atrakcyjności wielkiego ośrodka, sprawa jest jasna. Toteż niejednokrotnie absolwent politechniki wolał stanąć przy maszynie jako zwykły robotnik i czekać, aż zwolni się jakieś lepsze miejsce, niż objąć na prowincji posadę naczelnego inżyniera, wraz z mieszkaniem, wysoką płacą, itp. przywilejami.

Chcąc dać szansę ośrodkom prowincjonalnym, stworzono instytucję stypendiów fundowanych. Poprawiło to nieco sytuację, ale nie uzdrowiło jej do końca. Jak wykazała praktyka, około 20% absolwentów unikało objęcia pracy u fundatora, i to mimo surowych rygorów, w jakie opatrzone zostały umowy. Przyczyny były różne. Np. zakład pracy zawierał porozumienie z kawalerem, a zjawiał się absolwent z żoną i dzieckiem, co wymagało natychmiastowego przydzielenia mu mieszkania; umowę więc rozwiązywano. Podobnych przykładów można by przytaczać setki. Poza tym stypendia były instrumentem nieprecyzyjnym o tyle, że zagarniały w orbitę obowiązku tylko ludzi gorzej sytuowanych materialnie.

Po paru latach obserwacji, po licznych dyskusjach, władze doszły do wniosku, że stypendia fundowane nie wystarczą. Tu jesteśmy u źródła ustawy sejmowej z dnia 25 lutego 1964 roku, o planowym zatrudnieniu absolwentów wyższych uczelni. W ustawie przewidziano 3 formy związania studenta z przyszłym miejscem pracy:

◇ Stypendium fundowane, które przyznawać mogą tylko przedsiębiorstwa i instytucje leżące poza miastami wydzielonymi (stąd w roku bieżącym mamy do czynienia z ostatnim już „pokoleniem" stypendystów zakładów łódzkich).

◇ Umowa przedwstępna, zawierana na podstawie ofert, nadsyłanych przez zakłady pracy do uczelni.

◇ Skierowanie do pracy, co w istocie polega na skłonieniu studenta do wybrania którejś z ofert, jeśli wcześniej nie zdecydował się na podpisanie umowy.

Zasady te zostały wszechstronnie przemyślane i trudno byłoby doszukać się w nich jakichkolwiek uchybień. Bieda polega jednak na rozdźwięku między teorią i praktyką. Otóż w trosce o jak najlepsze rozdysponowanie fachowców, prawo zawierania umów przedwstępnych przyznano tylko pewnej liczbie przedsiębiorstw na terenie kraju — tym, które mają największe potrzeby.

Wykazy zakładów, uprawnionych do zawierania umów, zostały sporządzone przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów wspólnie z Komitetem Pracy i Płac, na podstawie danych, nadesłanych przez zjednoczenia przemysłowe i organy administracji terenowej. Stosowano „priorytet" dla zakładów prowincjonalnych kosztem wielkomiejskich, to zrozumiałe.

Dlaczego jednak w wykazie znalazły się 3 małe łódzkie spółdzielnie chemiczne, a nie figuruje tam żaden kluczowy zakład przemysłu chemicznego, tego już zrozumieć nie można. Na dobitkę spółdzielnie te nie wiedziały wcale o nadanym im przywileju, nie mają zresztą żadnych szans zrealizowania go, gdyż nie dysponują etatami.

Już choćby powyższy przykład dowodzi, że wykazy zostały sporządzone niezbyt precyzyjnie, czasem bez właściwego „rozeznania" potrzeb. Niektóre zakłady, a wśród nich takie „potęgi", jak ZPB im. Marchlewskiego, Dzierżyńskiego czy Armii Ludowej, w ogóle przeoczyły ukazanie się ustawy i nie wystąpiły z wnioskami o absolwentów.

Posiłkując się określeniem z zakresu cybernetyki, możemy stwierdzić, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem tzw. „szumu informacyjnego". Rzecz jasna, wykazy nie zostały raz na zawsze zamknięte i można wprowadzać do nich poprawki, ale nie jest to najłatwiejsze i wymaga 2 do 3 miesięcy czasu.

Sądzę zresztą, iż indywidualne sprostowania z poszczególnych zakładów nie na wiele się tutaj zdadzą. W sprawę powinny chyba wkroczyć władze terenowe. Po dokonaniu precyzyjnej oceny potrzeb i możliwości zatrudnienia w skali całego miasta, mogłyby one wystąpić z pełną listą postulatów. Wątpić należy, czy uda się to jeszcze w roku bieżącym, ale trzeba zatroszczyć się przecież o rok przyszły i lata następne.

Należałoby chyba zastanowić się również nad pewnym uelastycznieniem przepisów wykonawczych ustawy o planowym zatrudnieniu absolwentów. Sztywne stosowanie zasady: wszystko dla prowincji, nic dla wielkich miast, nie może przecież sprawdzić się w praktyce.

W tej chwili we wszystkich wykazach figuruje zaledwie 25 łódzkich przedsiębiorstw i instytucji, mających prawo zatrudniania absolwentów Politechniki i Uniwersytetu. Jest to ilość stanowczo zbyt mała. Chcemy być dobrze zrozumiani. Nie kierujemy się w tym artykule źle pojętą ideą patriotyzmu lokalnego. Jasne jest, iż skutkiem działania ustawy, Łódź będzie musiała zrezygnować częściowo ze swych aspiracji, na rzecz ośrodków jeszcze uboższych w fachowców. Równocześnie jednak do nas należy sprzeciwić się wszelkim „przegięciom" w tym zakresie.

Mimo wejścia w życie nowych przepisów, wielkie miasto nie przestało wszak być magnesem, ściągającym fachowców. W rezultacie wyszłoby na to, że absolwent po trzyletnim, „przymusowym" pobycie w terenie, wracałby do Łodzi. Kto poza nim odnosiłby korzyść z takiego obrotu sprawy?

Rzecz jasna, intencją ustawodawcy nie było zwiększenie płynności kadr fachowych. A wszelkie „przegięcia" tylko do tego mogą doprowadzić. Toteż konieczne jest wyważenie właściwych proporcji.

JAN BĄBIŃSKI

LONDYŃSKIE POPOŁUDNIA

London Airport. Co za potworne lotnisko. Co dwie minuty schodzi tu w dół jakiś odrzutowiec, co dwie inny wzbija się w powietrze.

— Uwaga, pasażerowie z Warszawy, proszę przygotować dokumenty...

— Od tej chwili towarzyszył nam głośnik. Przechodź tu, zatrzymaj się tam, podaj to, wsiadaj tam... Miał rację jeden z angielskich ministrów, kiedy zauważył, iż w London Airport wpada się pod brutalną dyktaturę głośnika. Człowiek staje się parą uszu na dwóch nogach.

*

Siedzę w salonie małego hotelu przy Dorset Street i spokojny o łóżko na dzisiejszą noc, spoglądam w telewizor. Na ekranie migotały reklamy, jedna za drugą, o proszku, który czyni biel bielszą aniżeli grudniowy śnieg dziewiczy i o konserwie, której już się nie zapomina. Dobre są te reklamy. Rodzaj skeczy granych przez zawodowych aktorów, przy dźwiękach jazzu, lub skomponowanej do tego celu piosenki. Gładkie to, krągłe, potoczyste. Po tem zapowiedź, jeszcze sekunda i do pokoju wdarł się ryk tysiąca kibiców z hali sportowej w Manchester.

— Professional wrestling — huknął spiker — walki zapaśnicze zawodowców...

Oczy pań, tuż obok, w fotelach obitych skórą, zapłonęły. Boże, co oni wyrabiali, te dryblasy z których jeden był Jamajczykiem o karku byka z Andaluzji. Spoceni, wykrzywiając się w straszliwych grymasach, bili łbem o ringowe maty, ciągnęli się za włosy, gwałi za grdyki, łomotali w pierś niczym goryle, wykręcali nogi w kostkach. Doprawdy, słychać było niemal chrzęst łamanych kości. Spuszczali sobie tak piekielne lanie, że zasłaniałeś oczy.

Czyżby program tutejszej telewizji stanowił przeplatankę reklam i sfingowanych bijatyk? Odpowiem za miesiąc

*

Park jest po to, żeby w nim wyciągnąć nogi na ławce. Zwłaszcza po tak morderczym marszu, jaki dziś zrobiłem z dickensowsko-ponurego Southwark przez London Bridge, aż tutaj. Jeśli to park, to gdy przymknę oczy, powinienem usłyszeć ciszę jak na Zdrowiu, Hyde Park i cisza, śmieszne. Nawet gdy uszy zatkać palcem i tak wdziera się do nich łomot pojazdów, które suną wszystkimi ulicami nieprzerwanym strumieniem. Monotonny, głuchy huk, jakby tuż, tuż na Oxford-Street przetaczała się na front pancerna dywizja.

To poryk londyńskiej dżungli, w której nie ma spokoju ani dniem ani nocą.

Do ławki zbliżało się teraz trzech wysokich panów. Szli po angielsku. Więc krokiem energicznym, wyprostowani jak gwardziści carowej Katarzyny. Pewnie byli po jednej z tych public school, gdzie nabywa się oprócz osobliwego akcentu, także postawy połkniętego kija i bardzo szczególnego chodu. To sztuka tak stawiać nogi. Ten pierwszy taszczył skrzynię, drugi książkę, trzeci trzymał tablicę z napisem „Catholic Evidence Guild". Na skrzynię wskoczył ten drugi i zaczął czytać modulowanym głosem kaznodziei:

„...the first angel sounded and there followed hail and fire... zatrąbił anioł i stał się grad i ogień i trzecia część ziemi zgorzała... i spadła z nieba gwiazda wielka, gorejąca niby pochodnia i wszelka trawa zielona zgorzała...

Przeleciał wielki cień, zasłonił przez chwilę słońce i zniknął. Mignął odrzutowiec, za nim drugi, trzeci. Rozległ się łoskot, uderzył w bębenki, roztoczył po murawie i powoli zamarł hen w gestwinie dębów, stuletnich klonów. — Hear, hear... słuchajcie, słuchajcie — wykrzyknął mówca nie bez satysfakcji i ze znaczącą miną. W tłumie złożonym głównie z młodych i wdzięcznych jak gazele studentek hinduskich, odezwał się stłumiony chichot. Mówca zmarszczył się i kontynuował z knigi jeszcze donośniejszym głosem:

„... oto stało się trzęsienie ziemi i słońce stało się czarne jako wór włosiany i księżyc cały stał się jako krew. A gwiazdy z nieba spadły na ziemię, jakby drzewo zrzucało figi niedojrzałe...

*

Wykłady w City of London College. Jeden z profesorów, po Oxfordzie, w straszliwie źle skrojonym ubraniu, oznajmił, że istotnie na Speaker's Corner nie wolno atakować królowej. Taka napaść godziłaby w zasady fair play, królowa nie mogłaby się przecież bronić. Inny profesor, po Cambridge, zaklinał, byśmy nie naśladowali angielskiego akcentu. Anglicy lubią właśnie obcy akcent, wprost przepadają za takim akcentem. Język angielski w ustach Norweżki jest pełen ekspresji i poetyckich tonów, w ustach Francuzki brzmi tak provocative, że przechodzą ciarki, w ustach Włoszki to śpiew słowika. Ladies and gentlemen, mówcie własnym, naturalnym akcentem, nie małpujcie nas na Boga, tylko mówcie tak, byśmy was mogli zrozumieć...

*

Wolny dzień od zajęć. Więc z Charing Cross spacer po ulicach, które są niczym innym jak otwartą na oścież, nie kończącą się witryną sklepową o babilońskich rozmiarach.

Wreszcie James Park z cudną perspektywą na Buckingham Palace. Koło stawu z pelikanami napatoczył się sierżant, którego poznałem tydzień temu. Niesamowity gaduła. Od razu rozwinął z tego końca, na którym skończył wtedy, u znajomych. Ruszyła lawina wspomnień. Potyczki, bitwy, komendanci, marsze, noclegi, medale, apele... Relacja kombatanta, powtarzana tyle razy, że upodobniła się do wykutej na blachę lekcji. Chciałem przerwać. — Ależ panie, już to słyszałem...

Sierżant zauważył mój gest, twarz mu pociemniała:

— Czego pan na mnie tak patrzy? — krzyknął tak głośno, że znad leżaków uniosło się kilka zdziwionych głów. — Łokcie mam wytarte? No i co z tego, prawdziwy Polak wszędzie pozostaje ubogi. A wy jak tam żyjecie, co? W kolejkach żyjecie, ja już wiem, znam wasze cuda od podszewki.

Zamilkł, gdy odchodziłem, pociągnął mnie za rękaw:

— Pan nic nie rozumie — wymamrotał. — Nasz język nas zabija, nasz piekielny, świszczący język, którym na tych diabelskich wyspach nie chcą mówić nawet nasze dzieci. Łobuzy, wyrodki w polskim domu, w polskiej rodzinie gadają tylko po angielsku między sobą. Żeby to szlag trafił. Siedzę tu na walizkach od dwudziestu lat. Pan się cieszy prawda? Więc idź pan sobie do diabła...

*

Profesor Lander, znawca literatury, zaczął następny wykład od Eliota, Jamesa, Hardy'ego i jeszcze paru innych znakomitości. Potem zawahał się, jakby miał przystąpić do czegoś najważniejszego. Powiódł wzrokiem po Edric Hall, w którym rozsiadło się blisko 300 słuchaczy ze wszystkich kontynentów i tak zakończył:

— Decydujący wpływ na formowanie się współczesnej prozy angielskiej wywarł, mojm zdaniem, nie kto inny tylko Conrad. Państwo na pewno wiecie, że Conrad był Polakiem i że nazywał się Kor-zjenowski. Uważam, że Conrad był największym prozaikiem angielskim czasów nowożytnych. Był niedoścignym mistrzem angielskiego słowa. Ale to chyba dlatego, że nigdy nie widział na oczy City of London College.

Siedzący obok mnie Szwajcar, trącił mnie w ramię:

— Cóż to u licha ma znaczyć? Wszędzie was pełno. W Solothurn, gdzie wykładam, mam w klasie dwóch Polaków. Są nieźli.

*

Jestem znów na Speaker's Corner. Trudno, coś mnie tu ciągnie. W tłumie stał starzec z łysą głową, ujętą jak w koronę resztką czarnych włosów. Był blady, wyglądał na zmęczonego. Słuchano go w skupieniu z widocznym zainteresowaniem. Wtem z tyłu przepchnął się dżentelmen w białej koszuli, ale bez krawata, co jak na Anglika było czymś zupełnie niezwykłym. Dżentelmen spojrzał na starca z pogardą.

— Powiedz nam lepiej skąd się tu wziąłeś? — zawołał.

I nie czekając na odpowiedź, dżentelmen odwrócił się szybko do tłumu:

— To przybłęda z Polski, jakiś tam krawiec. Miele tu językiem w każde popołudnie. Naziści wymordowali 6 milionów obywateli polskich? Kłamstwo, potwarz, fałsz, temu staremu poklepały się klepki ze starości.

Rozległ się niezrozumiały pomruk, na wielu twarzach odmalowało się zakłopotanie. Do przodu wysunął się śniady drab w mycce, chyba jakiś Turek:

— Co tam Polska i krawcy. Najgorsze jest to, że gdzie złoto i pieniądz, tam siedzi Grek albo Ormianin. Żeby wytłukło tych cholernych Greków, grabią pieniądze, jak tylko mogą. Nie ma gorszych drani od Greków, ja już wiem co mówię.

— Tak jest, tak jest — przytaknął z wielką ochotą Murzyn w meloniku. — Drani nigdzie nie brakuje. A u Niemców już taki charakter, że lubią się wyrzynać. Słyszałem o tym bardzo dokładnie. Co dużo gadać, każdy Niemiec to przecież Żyd, wszyscy o tym dobrze wiemy.

Starzec, który przysłuchiwał się w milczeniu, wyrzucił ręce ponad głowę, jakby usłyszał niesłychane jakieś bluźnierstwo. Zamarł w tej pozie. Zapanowała nagle cisza. Słychać było tylko dudnienie aut, które szły tuż obok, równym potokiem, jak gigantyczny transporter, utkany z tysięcy mknących kół.

*

Nowy wykład. Profesor B... zapytał:

— Czy jest tu może jakiś Czech?

Nie ma? jaka szkoda. Profesor żywił wielki podziw dla czeskich lotników jeszcze z okresu Battle of Britain...

*

W bibliotece zatrzymał mnie Niemiec, bodajże ze Stuttgartu. — Bardzo interesuję się językiem rosyjskim — zagaił. — Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak to będzie scapegoat po rosyjsku? Kozioł ofiarny? Jej Bohu, nie wiedziałem. Naprawdę nie miałem pojęcia. Niemiec zerknął na mnie z niedowierzaniem. — Pan nie wie? — bąknął — Das ist sehr interessant... — Popadł w tak skrajne zdumienie, że mimo woli wybuchnąłem śmiechem.

*

Więc jaka jest telewizja brytyjska?

Londyńczyk ma do wyboru dwa programy, BBC oraz ITV, niezależnych producentów, jeśli nie brać pod uwagę programu BBC II, odbieranego w dość wąskim promieniu. BBC nie nadaje reklam w ogóle. Natomiast nie można oprzeć się wrażeniu, że podstawa egzystencji ITV są właśnie komercyjne wstawki. Zarówno BBC jak i ITV nadają sporo rzeczy seryjnych.

Jedna z serii nosi tytuł Richard Boon Show. To rodzaj naszych Matysiaków, tyle że telewizyjnych. Takie sobie codzienne życie zwykłej rodziny z dalekiego przedmieścia Londynu. Właściwie to rodzaj komedii, lawirującej na pograniczu błazenady. Subtelności w tym nie ma. A jeśli już sięga się do ironii, to jest ona w stylu Somerset Maughama — „Pan oczywiście wie, że Tasmańczycy, którzy nigdy nie popełniali małżeńskich zdrad, już wymarli"?

Inne serie obu telewizji to głównie thrillery a la Kobra, oraz tak zwane Love Stories, więc perypetie zakochanych. Gra jest naturalna, nie razi teatralnym gestem, sztuczną mimiką, patosem. Tu mówi się ludzki tekst bardzo po ludzku. Zdaje się, że londyńska telewizja teatru nie znosi. Nie widziałem ani jednej inscenizacji jakiejś sztuki, nie mówiąc już o retransmisji z teatru. A oglądałem telewizję co wieczór, przez okrągły miesiąc.

Teatr to teatr, telewizja szuka tu własnej drogi.

*

Program BBC nadawany jest z Television Centre.

Obiekt jest gigantyczny. Główny budynek to 7-piętrowy kolos, otoczony wieńcem zabudowań, rozrzuconych na obszarze 5 hektarów. Program układa i realizuje 3 tysiące redaktorów, scenarzystów, techników... BBC dysponuje armią etatowych aktorów, którzy żyją tylko z telewizji i w niej upatrują spełnienie twórczych ambicji. W tym zespole powiązanych ze sobą budynków mieści się 7 atelier filmowych i studiów. Tu nakręca się telewizyjne filmy, stąd płynie strumień owych seryjnych spektakli.

*

Wyjazd z Anglii, a przyjazd do Anglii, to dwie różne rzeczy.

Właśnie celnik zbliżył się do grupy Anglików, którzy przed chwilą przylecieli z Paryża. Zmienił się, spoważniał, stał się niemal ponury. Wlepił z miejsca wzrok w płaszcz, który jedna z dam trzymała na ręku i zapytał:

— Płaszcz nie został podany w deklaracji, czy może pani wyjaśnić dlaczego?

Kobieta uniosła brwi. O cóż chodzi, przecież to płaszcz brytyjski, kupiony na Regent Street. Celnik bez dalszych słów odchylił poły płaszcza, wskazał palcem na ledwo dostrzegalny symbol słynnego domu mody z Paryża. Znak był wszyty dyskretnie wewnątrz kieszeni, na podszewce. Kontrola celna to dla Brytyjczyków żadna zabawa. W sąsiedztwie domu, gdzie przebywałem, mieszkała wdowa. Nie zadeklarowała zegarka na ręku wartości 110 funtów. Zegarek skonfiskowano, prócz tego wdowa zapłaciła 400 funtów grzywny. Za tę sumę można by tam kupić 200 włoskich płaszczy ortalionowych.

Przestępstwa celne są ścigane w Anglii z zastanawiającą bezwzględnością.

Z Londynu można wywieźć wszystko, nawet cały magazyn Maxa i Spencera. Gdy opuszczasz Londyn, żaden celnik nawet nie zajrzy do walizek. Nic ich to nie obchodzi, co wywozisz. Wprost przeciwnie, Anglicy uwielbiają turystów, którzy wywożą dużo towarów made in England. Wprost promienieją. Stają się tak zaskakująco uprzejmi, że czujesz się nieswojo. Handel panowie, handel, bylebyś im zostawił jak najwięcej funtów i dolarów. Ale ci sami Anglicy bardzo nie lubią, gdy próbujesz coś wwozić na ich wyspy. Nienawidzą tego. Na obce towary nakładają horrendalne cła.

*

Do widzenia, Anglio!

Z nisko lecącego samolotu widać jeszcze raz owe gmaszyska z białego kamienia i czerwonej cegły. Owe składy o potwornej wielkości, jeszcze z ubiegłego wieku, wrzynające się fundamentem w nurt Tamizy. Majestatyczne banki, z których wieje utajoną potęgą. Pałace, tu wieżowiec tam piętrowiec, ówdzie wille, jedna za drugą jak na sznurku. I ten ruch, który daje się obserwować nawet z pewnej wysokości. Oszałamiające, zapierające oddech tempo współczesnej Kartaginy. Biada, kto nie ma tu refleksu, inteligencji, kogo Bóg nie obdarzył pasją życia. Biada, kto trzyma się zasady — jakoś to będzie...

Tu jest miejsce, ale nie dla każdego.

ANDRZEJ BRYCHT

MAKI

ANDRZEJOWI MAKOWIECKIEMU

Maki idzie białą szeroką drogą, a ciągnie się za nim chmura zwiewna wysokiego pyłu. Maki niesie mały czarny futerał, obity bardzo, i w nim jest przyszłość Makiego i przyszła radość moja, a pył to moja o nim pamięć.

Tak właśnie często widzę go we śnie, idącego powoli z opuszczoną głową, tak go pamiętam. Słońce zachodzi i pył wciąż mocniej czerwienieje. Dokąd idzie Maki? On idzie grać, chociaż nie ma na to ochoty. Nigdy Maki nie ma ochoty grać, a robi to zawsze. Bo musi.

— Życie jest życie — powiada i śmieje się, a oczy wtedy robią mu się wąskie.

Zawsze mu czegoś brak. A czego? Może nie wie sam. Może już wie. Ale wtedy nie wiedział.

Wtedy. Woda podeszła na wydmy, czarnozielona, przykurzona pianą zbełtaną, a wiatr szarpał sine zakrzewy. Staliśmy na kamieniu spłaszczonym i śliskim, i była taka rozmowa:

— Grać już nie będę — mówił Maki. — Cisnę trąbkę w to cholerne morze. Ślimak dziwny jakiś w niej zamieszka, skorupa nie do zdarcia. Bo muzyka to nudna rzecz.

Pomyślał chwilę, szukając stosownego przyrównania.

— Jak to morze — wyciągnął rękę gestem poetyczno-cwaniackim. — Patrzysz, patrzysz, i ci się zdaje, że za chwilę coś z niego wyjdzie, coś takiego, że w życiu nie widziałeś, w żadnym śnie. A tymczasem nic, i możesz stać i stać, całe życie, robić tu z siebie wariata. Jeszcze gorszego, bo zmarzniętego.

Chuchnął w rękę, bo jesienny był sierpień.

— Tylko dzieci — dalej mówił Maki — spodziewają się czegoś od tej mętnej wody. Im się zdaje, że ona granic nie ma i że za nią najlepsze cuda istnieją, a to że granic nie ma jeszcze większe z tych cudów cuda robi. Później szczeniak się dowie, w szkole, w klasie odrapanej i smrodliwej, od belfra zidiociałego usłyszy, że te zbiorniki wymierzono wzdłuż, wszerz i w głąb, policzono metry sześcienne wody i zważono ich ciężar, przez mikroskop zobaczy cały gnój, co tam w środku żyje i pożera się na surowo, a jak będzie miał, nie daj Bóg, wyobraźnię, to mu się rzygać zechce, i chluśnie sobie zdrowo mitem pięknej tajemniczości, zdrów raz na zawsze.

Potrząsał drobną głową ostrzyżoną modnie.

— W muzyce zrobili już wszystko, skończył się jazz.

Zastanowił się chwilę nad końcem jazzu.

— Tak — potwierdził ostatecznie. — Szkoda słów.

Ze słowami widać znów mu się skojarzyło, bo:

— Literatura, o, literatura ma przyszłość. To sztuka nieśmiertelna. Ciągle coś nowego na świecie. Stale wyrażać. Bez końca. A muzyka — nawrócił jeszcze, śliną żółtą od fajek strzykając — gówno.

To ja:

— Na świecie to samo. Zawsze. Po wierzchu niby się zmienia, jak morze — też pokazałem ręką — ale w środku stale ten sam gnój. Czy koniem jadą, czy w samochodzie jeden i ten sam gnój. Kupa strachu na koniu, kupa strachu w samochodzie. Tu zgniłek, tam zgniłek, cały gnój dookoła nic nie znaczy. Trochę słów, żeby ten strach tego zgniłka i ten gnój koło niego obmalować, i literatura — skrzywiłem się i pień daleko oplułem. — Gówno.

On jakby spierać się chciał, ale że błyskawicznie kojarzył, to skojarzył moje głupstwa z własnymi jego, i zrozumiał, że powiedział głupstwa, i tak żeśmy doszli do zgody, a papieros ostatni ją przyłożył.

— Zagrasz nocą?

— Nie — powiedział i splunął.

Grał Maki nocą. W knajpie nad brzegiem samym. Ostro w górę, jak brzytwa na spocony kark. Chrypa groźna konania. Zbrodnia w tym bluesie. Hałas jej cierpki tragicznie leciał na wodę zburzoną i tam, w ciemności, dwa morza się łączyły, skryte wiatrem. A to tylko oddech Makiego i drgnięcia lekkie warg, i poruszenia krótkie palców trzech prawej ręki. Ogień szorstki i krwawy. Wiązał ten ogień mnie, a nie czułem bólu. Jak męczennik świętością ogłupiały. Długo szedł ten pogrzeb Pana Boga. Aż przywalił go piach piszczący, wysoki do chmur.

Wtedy dziewczyny zdrowe kochaliśmy w szarości nadrannej wspólnie i na zmianę, żeby wziąć z tego wszystko, co było do wzięcia. Odchodziły one w słońce potężne i ciche, a my leżeliśmy przy sobie, ten sam dzień nas ogarniał, to samo powietrze.

— Wszystko oddać, wszystko — mówił Maki z płytkiego snu, wargami spuchniętymi od gry i całowania — wszystko za miłość. Ale nie ma jej, nie ma. Bo może we mnie — marszczył się, przysypany światłem — we mnie może jej nie ma.

Ech, Maki. Zawsze mu czegoś brak. Miłości cudzej, jego własnej miłości. Zawsze mało mu czegoś. W muzyce i w życiu.

Wysokie morze spadło z wydmy brunatnej; parowała krótko, zamknął ją szron. Sporo świństwa pożarło się w morzu od tamtych dni. A dużo dni przeszło, zliczyć trudno.

Czy Maki już wie, co mu trzeba? Czy muzykę z morzem przyrównuje? Czy go cieszy niezgłębiona możliwość pisania? W snach widuję go często. Bo umarł Maki. I ja umarłem. Oba dla siebie zmarliśmy. Tylko nocą na pryczy wyślizganej, kiedy więźniów chrapanie ostre moich wspomnień biały pył podnosi, widzę go wyraźnie jak pod słońcem.

Idzie Maki białą szeroką drogą, za nim ciągnie się chmura pyłu wysoka, zwiewna. Są takie drogi gdzieś na świecie. Idzie z głową opuszczoną, powoli, a ten kurz za nim coraz wyżej czerwienieje w słońcu zachodzącym. Maki niesie czarny futerał podrapany starością, swoją przyszłość i radość moją dawną. Będzie nocą grał smutnej wodzie. Życie jest życie, myśli, i oczy wtedy robią mu się wąskie.

Potem on znika, i zostaje suchy, ostry pył.

27—29. II. 64.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

OKOLICE MOICH SŁÓW

Stanisławowi Czernikowi

Tyle wziąłem słów od trawy ile w niej słońca podmiejskiego,
Tyle odnalazłem znaczeń w mowie ile w owocu doświadczenia.
Lęku nie układam w promienie,
Z rzek nie wyjmuję kamieni.
Ludzkimi łzami płaczę nad chromym stołem,
W surowej desce wypatruję odlatujące jaskółki dzieciństwa.
Tyle zabrałem słów od wiatru ile w nim soli zamienionej w matkę.

W OGRODZIE

Blachy chmur nad słonecznikiem,
Blachy z kuźni złotych jabłek. Blachy z pory gdy gałęzie
To zastrzelone w trawie sarny.
Takie chmury z blachy groźnej
Popękały nad owocem.
Ojciec z ziemi wyjął ręce i w słoneczniku obmył.
Z liści wzejdzie suchy ogień. Czyste światło
Wiatr poskręca. Stół pod drzewem przyjmie spokój
I obrusy porozdziera.
A na trawie śnieg usiądzie
I przy furtce kamień uśnie.

JAN CZARNY

GŁUSZEC na GAŁĘZI

To są inteligentni ludzie. Nawet bardzo. Gdybym została, na pewno byłoby mi u nich dobrze. Jest ładny służbowy pokoik. On jest plastykiem, ona pracuje w teatrze, a dziecko chodzi do szkoły. Cały dzień nikogo nie ma w domu. Ale zrozumiałam, że i tu nastąpiło to, co wszędzie, że muszę stąd odejść.

Wermiszelu wczoraj nagotowałam na dwadzieścia osób, a ich jest tylko troje. Spalony garnek jak jeża schowałam w szafce pod oknem. Zdawało mi się, że dochodzi stamtąd metaliczny tupot i szelest suchych liści. Ale skąd liście w szafce pod oknem? To mi się musiało zdawać.

Za oknem stoi wysoka jak komin fabryczny topola. Jej liście mienią się w słońcu i wyglądają z daleka jak rój motyli o czarno-białych skrzydłach. Okno w hallu jest matowe, kiedy je zamykam, czuję za nim ruch liści, zmienny i rozdrobniony jak ułamki sekund. Za to na szybie widać tylko ledwo zarysowane, migocące skrawki posiekanych cieni. Ale zaczęłam o tym makaronie. On szukał naczynia, aby zagotować w nim klej, otworzył szafkę i natrafił na garnek z wermiszelem. Powiedział cicho: — Nigdy nie widziałem tyle makaronu na raz. Kiedy to zjemy? — tak dziwnie na to zareagował. Chociaż jest plastykiem, nie wie o tym, że kiedy wsypywałam do wody makaron, zobaczyłam wiązkę wijących się robaków, białych — takich, jakie się mogą tylko przyśnić w złym śnie. Pomyślałam wtedy o moim profesorze Orliku, o śmierci Stasi i o swoim zmarnowanym życiu. Zamknęłam oczy i nawet nie spostrzegłam, jak cała zawartość torebki wysypała się do garnka. Ale to nic, że stąd odchodzę. Mam na mieście wynajęty pokoik. Lepiej mieć jedno miejsce cudze, ale pewne, niż kilka swoich i niepewnych. Wieczorem ubiorę się ładnie i pójdę tam, gdzie przychodzi mój profesor Orlik. Usiądę blisko drzwi i zamówię herbatę. Jak tylko wejdzie i mnie zobaczy, odwróci się zaraz na pięcie i wyskoczy z lokalu jak oparzony. Kiedyś spotkałam go na ulicy, szedł przede mną ze swoją siostrą, z którą żyje. Szturchnęłam go w plecy lekko parasolką. Odwrócił się, zobaczył mnie i zaraz przyśpieszył kroku i przeszedł na drugą stronę. Boi się mnie jak ognia. Nie dziwię się. Sprawdzałam książki meldunkowe — on wie, że ja jedna orientuję się, że on żyje ze swoją siostrą. Kiedyś, pewnego lata, przysyłałam mu jabłka. Zroślaki. Całymi metrami w workach. Niech patrzy na zwyrodniałe, pozrastałe jabłka i niech mu się przypomni jego kazirodztwo. Potem — przychodziłam na podwórze domu, w którym mieszka, i rzucałam przez okno na parterze do jego pracowni bukiety róż. Róże były piękne, herbaciane, bardzo ładnie dobrane i ułożone. Pewnego razu wychyliła się przez okno jakaś kobieta i spytała:

— Co pani robi? Dlaczego pani rzuca codziennie przez to okno róże?

— To dla mojego profesora Orlika — powiedziałam.

— Dla pana profesora Orlika? — spytała kobieta.

— Tak — powiedziałam — dla pana profesora Orlika.

— No tak — powiedziała kobieta — ale profesor Orlik ma okna tam, naprzeciwko, a nie tutaj. Tutaj mieszka emerytowany kasjer kolejowy. Jest sparaliżowany i od paru lat nie wstaje z wózka. Sprawiła mu pani tymi różami wielką radość. Zaczął się codziennie golić i przyszył do przedwojennego munduru kolejowego srebrne, metalowe guziki. Mówię pani — po prostu ożył. Nawet próbuje chodzić po pokoju o lasce. Niech pani kiedyś do niego zajrzy.

Przestałam więc wrzucać róże do jego pokoju i zaczęłam się zastanawiać, co by tu nowego wymyślić. Od dwudziestu lat muszę ciągle coś nowego wymyślać. To zaczęło się dwadzieścia lat temu. On był wtedy jeszcze redaktorem graficznym w „Gazecie Porannej". Redakcja ogłosiła konkurs na rysunek. Pamiętam jak dzisiaj, narysowałam wtedy strumyk i księżyc, i głuszca siedzącego na gałęzi. Pomalowałam to ładnie farbkami, włożyłam do koperty i wrzuciłam do skrzynki. W niedzielę przeczytałam swoje nazwisko w gazecie i zobaczyłam mój rysunek. Dostałam pierwszą nagrodę. Profesor Orlik w specjalnym artykule pisał o tym, jaki mam talent. Chwalił mnie pod niebiosa. Pisał o wzniosłości uczuć i o liryce koloru. Nareszcie się ktoś na mnie poznał.

Postanowiłam się z nim zobaczyć. Moja Stasia miała wtedy cztery latka. Wzięłam ją ze sobą, spakowałam trochę rzeczy do walizki i pojechałam do miasta, do redakcji, do profesora Orlika. Nie było go w redakcji, więc poprosiłam o adres i udałam się do niego do mieszkania. Powiedziałam gosposi, że przyjechałam do profesora, że profesor bardzo mnie ceni, że mam talent i że chcę odebrać nagrodę. Głuchawa gospodyni powiedziała, żebym usiadła i zaczekała na profesora. Poprosiłam gosposię o kubek mleka i dałam go Stasi, a kiedy wypiła, ułożyłam ją w fotelu. Sama też po godzinie zasnęłam na kanapce. Profesor przyszedł późno w nocy i bardzo się przestraszył,

Rys. M. Kapuścińska

kiedy nas zobaczył. Wyszedł z domu i powiedział, że nie wróci, dopóki gospodyni nas nie odprawi. To oznajmiła mi rano gospodyni i musiałam się wynieść.

Kiedy przyszłam do tych ludzi, od których teraz odchodzę, a umyślnie angażuję się do artystów, bo z nimi mogę pomówić o moim profesorze Orliku, spytałam tego pana, zaraz jak tylko przyszedł:

— Pan jest malarzem?

— Tak — powiedział.

— A zna pan obrazy Wróbla?

— Tak — powiedział.

— A zna pan obrazy Wojtkiewicza?

— Znam — powiedział.

— To wszystko maluje mój profesor Orlik — powiedziałam.

— Ależ skąd — powiedział malarz — przecież znam od dawna tych malarzy.

— Oczywiście — powiedziałam — zna pan pana Wojtkiewicza i zna pan pana Wróbla, ale nie zna pan mojego profesora Orlika. Ja go świetnie znam, on wszystko może.

Taki malarz też ma swoją rację, ale nigdy mnie nie zrozumie. Słyszałam, jak mówił do swojej żony, kiedy pokazała mu legitymację z moim zdjęciem i powiedziała, że jestem inteligentną, starszą panią.

— Tak, bardzo możliwe, powiedział, że to inteligentna starsza pani, ale ona ma jakiś obłęd w oczach.

Stałam wtedy za drzwiami w służbowym pokoiku i wszystko dobrze słyszałam. Ale ja wiem najlepiej, że to nie jest obłęd. To, co zobaczył w moich oczach, to jest nienawiść do niego, do mojego profesora Orlika, którą niektórzy niesłusznie nazywają miłością. To jest to moje nieszczęście i myśli o nim, o jego kazirodztwie, o jego obrazach, i o moim straconym talencie, i o śmierci mojej Stasi, którą przez niego zaniedbałam albo mi ją niebiosa odebrały za karę. A teraz nawet zdaje mi się, że to dziecko miałam z nim, na tej kanapce za parawanem, na której spałam tej nocy, kiedy mnie kazał wyrzucić. Tak mi się zdaje, chociaż wiem, że to niemożliwe, bo Stasia miała już wtedy cztery lata.

Teraz spakuję rzeczy i pójdę do swojego pokoiku na mieście. Malarz dał mi na pożegnanie mały obrazek, akwarelę. Poprosiłam go, żeby mi namalował strumyk, księżyc i głuszca na gałęzi. Powieszę to nad moim łóżkiem. Nie mam jakoś szczęścia do tego domu. Przedtem już się tu godziłam do jednej rzeźbiarki, która też zna mojego profesora Orlika. Zadzwoniła do niego i zapytała o mnie. Wtedy profesor powiedział przez telefon:

— Ach, proszę pani, niech mi pani o niej nie wspomina, to jest nieszczęście mojego życia.

To — to znaczy — ja. Ja jestem nieszczęściem jego życia.

A czy on tak samo nie jest nieszczęściem mojego życia? I to jeszcze pytanie, kto dla kogo jest większym nieszczęściem, czy ja dla niego, czy on dla mnie?

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wezmę teraz dorożkę, żeby zdążyć. Odwiozę rzeczy i pójdę do kawiarni, do której on przychodzi. Będę tam na niego czekać. Jak wejdzie i mnie zobaczy, odwróci się na pięcie i wyskoczy jak oparzony. **Jak jestem jego nieszczęściem, to niech już będę do końca.**

ANDRZEJ GRUN

Malarstwo KLIMATÓW

Są obrazy zaskakujące nas i szokujące przy pierwszym z nimi spotkaniu, ale przy następnych konfrontacjach wywołujące uczucie zawodu i rozczarowania. Kompozycje, które nazwałbym jednorazowymi, działające na zasadzie zaskoczenia i jakże krótkotrwałego efektu, puste, pozbawione istotnych treści malarskich i ideowych. Obrazy, w których nie znajdujemy nic nowego poza tym, co znaleźliśmy w pierwszym momencie ich zobaczenia. I są obrazy, w które należy się uważnie wpatrzyć, aby odkryć w nich prawdziwe wartości, zrozumieć zasady gry toczącej się na płaszczyźnie płótna. Malarstwo, którego konsumpcja wymaga wysiłku i skupienia. Wystawa Andrzeja Szonerta w pierwszym momencie może wydać się dla widza nie przyzwyczajonego do aktywnego odbioru dzieła plastycznego monotonna i prace wyeksponowane — podobne do siebie, jednakowe, tak kolorystycznie jak i kompozycyjnie. Może zmęczyć, pozostawiając przykre wrażenie niedosytu i nudy. Bo na pewno nie jest to malarstwo łatwe. Należy do gatunku tzw. (w mowie potocznej — zaznaczam) „malarstwa abstrakcyjnego", a więc malarstwa, do którego — powiedzmy to sobie otwarcie — nie wszyscy jeszcze się przyzwyczaili, a jeszcze mniejsza ilość osób potrafi je odczuć i zrozumieć. Odbiór tego rodzaju malarstwa wymaga od zwiedzającego, obok pewnego wyrobienia plastycznego, także intelektualnego wysiłku w kierunku zrozumienia całego łańcucha przyczyn i skutków. Zawiedziony i rozczarowany wyjdzie z wystawy każdy, kto przyszedł tam z nastawieniem, iż wzruszenia i emocje podane mu będą na talerzu, tak jak podaje się je w cyrku czy fotoplastikonie.

A więc malarstwo dla elity? Tak. Jest to malarstwo dla ludzi, którzy zaangażowani w sprawy współczesnej plastyki śledzą uważnie kręte ścieżki jej rozwoju, zorientowani są w jej różnorodnych prądach i kierunkach. Dla tych to wiernych i aktywnych sekundantów przeznaczona jest sztuka Andrzeja Szonerta. Szonert zrobił dyplom w łódzkiej Szkole Sztuk Plastycznych w grudniu ubiegłego roku. Obrazy wystawione w „Galerii 20", to w większości prace powstałe już po dyplomie. Tak się złożyło, że byłem świadkiem powstawania niektórych spośród wyeksponowanych kompozycji. Poznałem więc zródła ich inspiracji, drogę myślenia autora i sam proces tworzenia. Szonert jest realistą. Czerpiąc z otaczającego go życia „tematy", pokazuje na płótnie nie ich formę zewnętrzną, nie fizyczne zależności koloru i kształtu, a ich wewnętrzne treści — swoistą ich atmosferę. Malarstwo Szonerta, to malarstwo klimatów różnorodnych zjawisk fizycznych, rzeczy realnych. To jakby zaklęte w formę plastyczną myśli i uczucia powstałe bezpośrednio na skutek przeżycia fizycznego. Droga prowadzi więc od doznania zmysłowego do przetłumaczenia go na język plastyczny. Trzeba niemałego wysiłku, żeby uchwycić prawdziwą atmosferę tego malarstwa, na pozór „mocnego", przez spięcia różnorodnych faktur, przez zastosowanie zaskakujących błysków kolorystycznych, ale w istocie pełnego poezji i subtelnego nastroju. Utrzymane mniej więcej w jednakowej gamie kolorystycznej różnorodne płaszczyzny kryją w sobie dziesiątki fascynujących przygód dla cierpliwego i wrażliwego ich badacza. Poszczególne fragmenty obrazów mogłyby być już same w sobie skończonymi kompozycjami. I tu leży między innymi wielka zasługa Szonerta, iż potrafił, nie rezygnując z całego bogactwa szczegółów, zachować całościowy charakter kompozycji.

Na pierwszy rzut oka oudowa wszystkich tych obrazów wydać się może niemal identyczna, a przecież każdy z nich ma swoją odrębną architekturę, inaczej jest zbudowany, i inne posiada działanie. I tu leży druga zasługa Szonerta, że operując podobnymi i w gruncie rzeczy skromnymi środkami wyrazu, potrafił uzyskać tak wielkie bogactwo formalne. Prostota środków — bo faktura dzisiaj nie jest już rewelacją, a brązy polscy malarze ukochali sobie nade wszystko — leży u podstaw tego malarstwa. Nie będę „streszczał" tu poszczególnych obrazów, nie chcę opowiadać, co jest na nich namalowane — bowiem malarstwo jest po to, aby je oglądać, a nie opowiadać je. Chciałem tylko zwrócić uwagę na kilka najistotniejszych, moim zdaniem, aspektów tej sztuki.

Może zdziwi Czytelnika fakt, że tak wielki nacisk kładę na wysiłek, jaki należy włożyć, żeby odczuć w pełni malarstwo Szonerta. Sztuka współczesna jest sztuką trudną. Wymaga ona od odbiorcy — powtarzam to jeszcze raz — przygotowania i pracy. Nie jest to już bowiem sztuka martwych natur z jabłkami, aktów czy sielskich pejzażyków.

Fot. W. Paryś

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

POZA DEKALOGIEM

„Tylko w chwilach wyjątkowego rozeznania skupiona i daleko sięgająca myśl daje nam pełną wiedzę o sobie".

TOMASZ MANN

Zamknięte w swoim specyficznym obcowaniu ze światem, wyrafinowanie nadwrażliwe w odczuciu zewnętrznych bodźców, środowisko ludzi chorych zawsze interesowało i interesuje zarówno twórcę jak i odbiorcę. Ten pierwszy usytuowując tu akcję swego dzieła znajduje możliwość wyrażenia niezwykle skondensowanej myśli filozoficznej, a odbiorca ma okazję zaspokoić pewien niedosyt skojarzeń „wyższego rzędu". Sanatorium gruźlicze przez swoją atmosferę niepokoju i wyobcowania stanowi jak gdyby kondensację życia. Wszystko tam jest trochę nierealne — nawet pojęcie czasu.

W roku 1939 w spotkaniu ze studentami Uniwersytetu w Princeton Tomasz Mann mówił o sanatorium w Davos, gdzie toczy się akcja „Czarodziejskiej góry": „Dziś to już minęło zupełnie czy prawie zupełnie. „Czarodziejska góra" stała się łabędzim śpiewem tej formy egzystencji i może to jest nawet jakieś prawo, że epickie opisy kładą kres pewnym formom życia, które znikają po ich powstaniu. Dzisiaj leczenie gruźlicy odbywa się innymi metodami" (T. Mann „Eseje" PIW Warszawa 1964, s. 386).

Eugeniusz Kabatc umieszcza akcję „Jedenastego przykazania" w sanatorium gruźliczym. Karol, młody inżynier składa siedem wizyt swemu wujowi Joachimowi; te siedem wizyt, to siedem epizodów składających się na całość książki. Każda wizyta stanowi kontynuację myślową wizyty poprzedniej o samoistnej kadencji treściowej, aby zakończyć się niezwykłym wyznaniem miłosnym Joachima przybranym w szatę dzielących go, a jednocześnie zbliżających do Niemki Marii Claus, przeżyć wojennych. Jest to język przedwojennego pokolenia, które obciążone latami „faszystowskiej nocy" powraca nie tylko myślą, ale nawet leksyką do straszliwych doświadczeń.

Powieść Kabatca jest tedy swego rodzaju misterium czasu, jest ona powieścią z jednej strony, historycznie biorąc, szkicującą obraz epoki poniżenia człowieczeństwa, z drugiej zaś strony biorącą za przedmiot czas jako taki i stanowiącą analizę doświadczenia bohatera i zarazem zjawisko samo w sobie.

Hans Castorp w „Czarodziejskiej górze" „uczy się prawdy, że wszelka wyższa forma zdrowia musi przejść przez głębokie doświadczenie choroby i śmierci, tak jak poznanie grzechu jest warunkiem zbawienia" (T. Mann „Eseje" op. cit. s. 395). Joachim stara się przekonać Karola w „Jedenastym przykazaniu", że pojęcie odpowiedzialności zbiorowej, a więc anonimowej, prowadzi do rozgrzeszenia, a zatem do zapomnienia, że bezpośrednie zetknięcie się ze śmiercią wywołuje zobojętnienie na cudze nieszczęście. Tymczasem instynkt odwetu działa tylko wtedy, kiedy powołujemy przed sąd naszej świadomości jednostkę, natomiast zbiorowość mobilizuje nas do zimnego, bezstronnego sądu. Właśnie pojęcie odpowiedzialności jednostkowej prowadzi do rozgrzeszenia i zapomnienia, a przecież powinniśmy mieć „szacunek dla własnych przeżyć — mówi Joachim — szacunek dla pamięci jest już tylko tego pochodną..."

W takim razie zadajmy sobie pytanie, czy stąd wypływa samooskarżenie „nie czuję się tylko ofiarą, (...) nie tylko cierpiałem, (...) zadawałem też ból (bardzo chciałem zadawać ból). Główne polega na tym, byśmy nie zostali zbyt łatwo rozgrzeszeni. Moralny niesmak, moralna czujność, to powinno tkwić w nas do końca życia"; czy wypływa stąd jedenaste przykazanie zgubione z dekalogu na górze Synaj. „Miej litość nad sobą samym..."?

Jak „Czarodziejska góra" Manna, tak „Jedenaste przykazanie" Kabatca stanowi „odmianę świątyni wtajemniczenia", świątyni, która jest miejscem tajemniczych badań życia i doświadczeń, na jakie skazany jest człowiek dwudziestego wieku. Zarówno Hans Castorp, jak Karol i Joachim są poszukiwaczami prawdy i humanizmu. Prawda jest tajemnicą, ale humanizm również. A może powojenny humanizm zamyka się w jedenastym przykazaniu „Miej litość nad sobą samym...", a prawda przedwojennego pokolenia w samooskarżeniu?

Innymi słowy, to co dla T. Manna stanowi pojęcie wtajemniczenia („Czarodziejską górę" nazywa initiation story) wyrażone przez Castorpa: „Ku życiu można iść dwiema drogami. Jedna jest zwykła, bezpośrednia i dobra. Druga natomiast jest zła i prowadzi przez śmierć, ale to jest właśnie droga genialna" dla E. Kabatca stanowi najwyższy stopień wtajemniczenia poprzez epokę leżącą „poza dekalogiem", kiedy nie obowiązywały żadne prawa. Oczywiście nie wynika stąd, że Kabatc napisał książkę tak dobrą jak T. Mann. Kabatc napisał książkę ciekawą, którą warto przeczytać.

Eugeniusz Kabatc „Jedenaste przykazanie" Wydawnictwo Łódzkie 1965.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

STYLOWY	„Kapo" — 16 seansów	2.987 widzów
WISŁA	„Wyspa złoczyńców", 25 seansów	6.475 „

TEATRY

NOWY	„Pan Geldhab", 4 spektakle	2.700 — 90%
	„Drewniana miska", 3 spektakle	1.800 — 85%
	„Marie Octobre", 1 spektakl	600 — 90%
NOWY Mała Sala	„Garść piasku", 1 spektakl	180 — 80%
	„Indyk", 1 spektakl	200 — 100%
	„Radosne dni", 2 spektakle	260 — 65%
JARACZA	„W pustyni i w puszczy", 5 spektakli	3.400 — 100%
	„Ostatnia stacja", 4 spektakle	2.700 — 100%
	„Koncert", 2 spektakle	1.350 — 100%
	„Ania z Zielonego Wzgórza", 1 spektakl	700 — 100%
	„Kto uratuje wieśniaka", 1 spektakl	700 — 100%
POWSZECHNY	„Dziady", 4 spektakle	2.644 — 99%
	„Piosenka prawdę ci powie", 2 spektakle	1.251 — 92%
	„Ktoś nowy", 1 spektakl	500 — 75%
7.15	„Przygody dzielnego wojaka Szwejka", 6 spektakli	1.570 — 60%
OPERETKA	„Czarujący Giulio", 6 spektakli	3.613 — 54%
OPERA	„Legenda Bałtyku", 1 spektakl	711 — 100%
	„Manon", 1 spektakl	680 — 90%
	„Janek", 1 spektakl	659 — 100%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

SPROSTOWANIE

W książce „Życie społeczno-gospodarcze Łodzi i województwa łódzkiego 1964", podano na stronie 4, że autorem okładki jest p. Roman Prokulewicz. W rzeczywistości autorem okładki jest p. Stanisław Gratkowski, którego w tym miejscu Wydawnictwo serdecznie przeprasza za pomyłkę.

DYREKTOR
WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO
(—) A. POSTOŁOW

PÓŁKA z książkami

MARZENIA PO PIĘĆDZIESIĄTCE

Co się dzieje na starość z orłem? A ze lwem? Co się dzieje na starość ze świetnym niegdyś pisarzem? Pytanie czasem kłopotliwe, czasem bolesne. Odpowiedzmy szczerze: bywa tak, że na starość orzeł traci wzrok, a lew swą odwagę. Niektórzy wielcy pisarze zachowują, ba! rozwijają swój geniusz po ostatnie lata długiego życia! exemplum — Tomasz Mann. Ale bywa i inaczej.

Arnold Zweig dla pokolenia, które dojrzewało tuż przed II wojną światową, był początkowo prorokiem pacyfizmu (cykl zapoczątkowany „Sporem o sierżanta Griszę"); później jednym z czołowych niemieckich (jakże ich w istocie było mało!) antyfaszystów. Dziś, w połowie lat sześćdziesiątych, wydaną u nas przez „Czytelnika" w atrakcyjnej serii „Nike" jego powieść „MARZENIA SĄ DROGIE" budzi w trakcie lektury mieszane uczucia. Warsztat starego mistrza sprawia, że powieść czyta się gładko, ale jej fabuła mgliście przypominająca wydany w 1927 r. „Spór", zda nam się blada, nieprzekonywającą kalką. Gdzieżeście niegdysiejsze śniegi? Gdzie pasja, znajomość realiów, gdzie owe pióro, które czterdzieści lat temu namalowało z takim mistrzostwem złowieszczą panoramę niemieckiej wojennej jurysdykcji.

A więc w bogatym dorobku Zweiga jest to powieść — nie ukrywajmy jedna ze słabszych. Ale spróbujmy bez przywiązywania wagi do fabuły, ujrzeć w niej coś w rodzaju pamiętnika czasu wojny, smutną historię austriackiego liberała i berlińskiego „asphaltmenscha", którego logika Czasów Pogardy i przeznaczenie Żyda Wieczernego Tułacza zaprowadziły jako żołnierza i obrońcę wolności aż do Egiptu, kraju niewoli praojców. Prześledźmy uważnie opowieść Zweiga: to nic, że wyda nam się on w swoich rozważaniach historiozoficznych naiwny. To nic, że jego wszechwiedza polityczna bywa profesorska. Czytajmy te szczere zwierzenia z szacunkiem. Bo Zweig — stary i okryty ranami bojownik o słuszną sprawę, na pewno na ten szacunek zasłużył.

S. M.

Arnold Zweig „Marzenia są drogie", „Czytelnik", „Nike", 1964, str. 559, cena zł 28.

PRÓBA LEGENDY KLONOWICA

Życie Sebastiana Fabiana Klonowica, zwanego też po łacinie Acernem, czyli Klonem, zaczyna się dla historyka literatury w zasadzie w chwili, gdy ten mieszczański poeta ustabilizował się pod koniec XVI w. w Lublinie. O jego młodości bowiem niewiele wiadomo.

Podobnie Danuta Bieńkowska, dając zbeletryzowaną biografię autora „Worka Judaszowego" i „Flisa", a przy tym burmistrza Lublina, rozpoczyna akcję w 1580 roku, kiedy to Klonowic dobrze się ożenił z majętną mieszczką lubelską. Potem już akcja biegnie chronologicznie tak, jak ją wyznacza życie Acerna — aż do jego zgonu. Że jednak życie to nie było nazbyt dramatyczne, „Żywotowi szczęśliwemu Sebastiana Klonowica" Bieńkowskiej zabrakło intrygi, tak aby stał się on romansem w stylu Kraszewskiego, który to styl byłby tu — wydaje się — bardzo na miejscu.

Autorka wykorzystała literaturę naukową, dotyczącą przedstawionego okresu historycznego, toteż jej powieść ma duże walory kształcące, zwłaszcza tam, gdzie maluje tło działalności Klonowica — charakter szesnastowiecznego Lublina, sytuację mieszczaństwa, spory religijne, początki kontrreformacji, ogólne położenie społeczne Polski szlacheckiej u schyłku Złotego Wieku. Natomiast portret Klonowica należy traktować bardziej ostrożnie. Wprawdzie w XIX wieku Kraszewski twierdził, że autor „Flisa" wznosi się nad swój wiek, dziś jednak, po stu latach, profesor Krzyżanowski twierdzi, że o Klonowicu więcej się mówi niż się go studiuje. Znakomity znawca staropolszczyzny podważa pogląd, że Klonowic był śmiałym satyrykiem. Twierdzi, że jego satyra jest dziwnie bezzębna i podszyta moralizatorstwem. Klonowic więc to nie satyryk, lecz moralista, hołdujący częstokroć literackim gustom, sięgającym średniowiecza. Jak to poeta niższego lotu.

J. T.

Danuta Bieńkowska: „Szczęśliwy żywot Sebastiana Klonowica", Lublin, 1965, Wyd. Lubelskie.

„DOBRY WIECZÓR MISTER GODOT

Książka Barbary Nawrockiej pt. „Dobry wieczór, Mister Godot" to nie tylko notatki turysty, który znalazł się w jedynym w swoim rodzaju mieście — są to wnikliwe obserwacje całego skomplikowanego systemu społeczno-polityczno-kulturalno-obyczajowego Stolicy Świata, Miasto o swoistej legendzie, Paryż bulwarów, Lido, Folies Bergere, wina, nocnych klubów i dziewcząt z Pól Elizejskich widziany nie tylko z wysokości Wieży Eiffla, decyduje o wartości reporterskiej tej urzekającej książki. Nawrocka posługuje się krótkim zdaniem, niekiedy zdaniem nierozwiniętym, osiągając w konsekwencji prostotę stylu tak rzadką u dzisiejszych pisarzy.

A przecież pisać o Paryżu nie jest łatwo, tym bardziej, że co krok to spotyka się historię, tę przez duże H. Sztuką jest nie ulec złudnemu zafascynowaniu, umieć patrzeć na Montmartre nie przez płótna Utrilla, a oczami warszawiaka, który niczemu zbytnio się nie dziwi, chociaż zachował szacunek dla przeszłości.

Książka została starannie wydana przez Wydawnictwo „Czytelnik", a okładkę pomysłowo zaprojektował Jan Młodożeniec.

E. I.

Barbara Nawrocka: „Dobry wieczór, Mister Godot". Wyd. „Czytelnik", Warszawa, 1965. Stron 220. Cena 11 zł.

ZBIGNIEW WÓJCIKIEWICZ

Tak jest w teorii

Zmodyfikowany w bieżącym roku szkolnym program nauczania języka polskiego w 3-letnich Zasadniczych Szkołach Zawodowych (P2-Z-55/64) stwierdza między innymi: **„Posługiwanie się językiem ojczystym jest jedną z podstawowych umiejętności, nieodzownych w nauce szkolnej, stanowi także niezbędny warunek aktywnego udziału w życiu społecznym"**. Zobaczmy pokrótce, w jakim stopniu opanowali tę umiejętność absolwenci szkół podstawowych, którzy kontynuują naukę w szkołach zasadniczych. Jest to młodzież, która w ciągu trzech lat nauki (w wymiarze: 3 godz. tyg. w kl. I-II, 2 godz. w kl. III) ma się nauczyć „poprawnego i swobodnego wypowiadania się w mowie i piśmie, wrażliwości na piękno języka". Tak jest w teorii, a jak wygląda praktyka?

Musimy sobie powiedzieć, że nie wygląda dobrze. Polonista natrafia w klasach I na całkowitą niemal nieznajomość zasad ortografii i interpunkcji u swych wychowanków. Zmuszony jest omawiać od nowa wszelkie ważniejsze reguły, gdyż pierwsze dyktanda dają wyniki tak rozpaczliwe, iż ocenę niedostateczną można postawić dopiero za 20 lub więcej błędów ortograficznych. Inaczej byłyby same — lub niemal wyłącznie — dwóje. Zaczyna więc pracę niemal od podstaw, zada nie to, przekracza niemal jego siły, gdyż ze strony nauczycieli innych przedmiotów nie może spodziewać się specjalnej pomocy. Wymyśla i natychmiast sprawdza w praktyce najróżniejsze metody nauczania ortografii, do tego niemal sprowadza w pierwszym roku pracy z młodzieżą swe zamierzenia. Stara się młodzież maksymalnie zainteresować, więc niektóre formy ćwiczeń chwilami przypominać będą... teleturnieje czy inne konkursy z nagrodami.

Tu są nimi dobre oceny i słowa zachęty do dalszej pracy nad sobą. Po jakimś czasie w każdej klasie wyłania się grupka zdolniejszej młodzieży, która zaczyna pisać coraz poprawniej. Wyłania się problem — jak podciągać do ich poziomu słabszych? Tutaj trzeba starań przez wszystkie trzy lata nauki, starań obustronnych. Nauczyciel przeprowadza więc wśród nich „ankietkę", zawierającą dwa pytania: **„Dlaczego otrzymałeś dwójkę z polskiego na dany okres"** i **„Jak zamierzasz ją poprawić"**. Otrzymane wówczas odpowiedzi są tak interesujące, że warto choć niektóre zacytować. Szanując dokumenty, zachowajmy przy tym autentyczną ortografię i styl. Przypominam — wszyscy są absolwentami szkoły podstawowej; oddajmy im głos:

— *„Mogę powiedzieć, że w tym okresie w o g u l e nie uczyłem się."*

— *„W trzecim okresie mam zamiar w z j ą ś ć się silnie w garść."*

— *„Trzeba się przyłożyć (?!) do książek."*

— *„Zamierzam się poprawić na ocenę 4 (?!), gdyż powiedziałem sobie, że L i t e r a t u r a polska jest najpiękniejszą nauką na świecie."*

Wystarczy tych deklaracji, przyjrzyjmy się ich realizacji. Np. prosimy do tablicy jednego z uczniów, polecając mu napisać słowo „horda". Widzimy zadowoleni błysk zrozumienia w jego oczach, gdy wtem dochodzi nas pytanie: „taka na gołębie?" Zamieniamy się w słup soli...

Zrozpaczeni robimy możliwie często prace klasowe. Myślimy — jeśli dyktanda wypadają tak źle, może choć tutaj znajdziemy jakieś wartości. Jeśli już nie stylu, to odrobiny zastanowienia mamy prawo oczekiwać. Tymczasem każda niemal praca zawiera takie „kwiatki", że wywołuje na przemian — uśmiech i zgrozę, politowanie i uczucie zniechęcenia. Jeden z uczniów zgłasza się zadowolony do odpowiedzi, bo samodzielnie napisał plan do dziejów Zbyszka z Bogdańca. Czyta: „Nagana posła na Zbyszka", zachwilę — „Ślub Zbyszka z Danusią na łożu..." Przerażony oddaję głos innemu, by usłyszeć: „Zarzucenie p a ł e c z k i na głowę Zbyszka przez Danuskę". Albo f-ty wypracowań: „Zbyszko wtedy prowadził życie spokojne i dochował się czterech synów. „Zbyszko wiedział, że każdy Krzyżak to morderca ukochanej Danusi". „Danusia nie mogła poznać Zbyszka dlatego, że Krzyżak woził ją w kolebce".

Równie ciekawie wypadają klasówki na różne tematy. Poczytajmy:

— „Kochanowski tak wdepnął na honor szlachty, że na sejmie uchwalono podatki na wojsko na przeciąg dwóch lat".

— „Pod łożem Romantyzmu była Wielka Rewolucja Francuska".

— „Człowiek biedny nigdy nie miał zapewnionej podstawy obywatelskiej".

—„I tym wszystkim zagiął psychicznie księcia Alberta..."

— „Kiedy dziewczyna już podrosła i zmężniała..."

— „Żeromski opisuje nam Wiktora jako nędznego komunistę, który stara się walczyć z ludźmi kapitalizmu".

— „Kontusz, żupan, pas, spodnie, buty i czapka to było całe ubranie polskiego człowieka".

— „Karmazynowa kiereja dodawała honoru półki była w modzie, natomiast kto jej nie nosił, poczytywany był za chudego pachołka".

— „W swoim utworze M. Rej naśladuje głupotę między wójtem, panem a plebanem" .

— „J. Krasicki w bajce pt. „Jagnię i wilcy"' opisuje bezbronnego jagnięcia"'.

— „Weselisko było huczne, było słychać piskanie skrzypiec i wszystkich gości, którzy byli na tym weselu".

— „Dzielnie zamykając oczy zwalił się po strzale wprost do wykopanego dołu".

— „Najciekawszą dla mnie sceną w „Piątce z ulicy Barskiej" było to, kiedy... nigdy, bo nie czytałem książki".

— „Żadna scena mi się nie podobała, bo nie czytałem książki".

— „W wierszu „Jaś nie doczekał" Konopnicka ukazuje nam obraz nędzy i rozpaczy".

Nieprzypadkowo kończę na tym cytacie. Przypadkowy humor zeszytów szkolnych może bawić czytelników popularnego „Przekroju", dla polonistów borykających się na co dzień z ortografią, stylem i brakiem przygotowania uczniów, to właśnie tylko obraz nędzy i rozpaczy. Podobne cytaty można mnożyć w nieskończoność — „pomysłowość" uczniowska jest pod tym względem niewyczerpana, nie o to jednak chodzi w tym artykule. Ma on raczej na celu ukazanie społeczeństwu poziomu wykształcenia młodzieży, która przecież za lat kilka zajmie miejsca wielu z nas. Młodzież ta — w wieku 17-19 lat — w swej ogromnej większości przeklina szkołę, tych którzy ją „wymyślili" i którzy próbują od niej wyegzekwować niezbędne minimum informacji, umiejętności, wiedzy. **Młodzież ta — przypomnijmy, iż cały czas mam na myśli uczniów szkół zasadniczych — nie lubi czytać.** Nawet Trylogia Sienkiewicza czy „Faraon" Prusa przyjmowane są uwagami w rodzaju: „jakiś kryminał, to byśmy chętnie przeczytali, ale to?" Bez względu na długość terminu, wyznaczonego dla przeczytania danej pozycji, na próby zainteresowania nią uczniów, na grożące im konsekwencje zlekceważenia zaleceń — zawsze z góry wiadomo, iż przewidzianą do omawiania książkę znać będzie zaledwie nieznaczny ich odsetek.

Młodzież ta nosi często tylko z nazwy miano uczniów. Nie tylko nie uczy się nigdy w domu (zgodnie z zaleceniami większość materiału przerabia się na lekcjach); **ale nawet nie stara się prowadzić jako tako zeszytów.** Ile nerwów, czasu i starań wymaga spowodowanie, żeby choć niektórzy mieli je mniej więcej w porządku. Lada kartkówka czy klasówka powoduje masowe uszczuplanie zeszytów przez wyrywanie kartek (specjalnych do tego celu na ogół nie udaje się wprowadzić). Nie pomaga ani nakaz numerowania kart w całym zeszycie — uczeń wyrwie i tak mimo grożącej za to dwójki. W końcu dumnie brzmiące „zeszyty przedmiotowe" prezentują się opłakanie, tym bardziej że ich wygląd zewnętrzny również nie może nikomu zaimponować. Brak naklejki, plamy nieraz tak duże, że pochodzące niechybnie od jakiegoś talerza, niechlujne pismo, ortografia — oto cechy charakterystyczne większości kajetów.

Trudny i niewdzięczny jest „chleb codzienny" nauczyciela takiej szkoły. Szczególnie trudna jest sytuacja polonisty. Stopniowo rezygnuje on ze wszelkich złudzeń co do ewentualnych wyników nauczania. Pragnie osiągnąć choć to podstawowe minimum — nauczyć uczniów jako tako mówić i pisać. Jakże jednak często i ten cel okazuje się w praktyce niemal niemożliwy do zrealizowania. Że często stoimy na straconej placówce — wiemy o tym tylko my. Może po tym krótkim szkicu grono „wtajemniczonych" się powiększy. Gdybyż to mogło w jakiś sposób wyjść na korzyść najbardziej zainteresowanym — uczniom szkół zasadniczych — cel artykułu byłby spełniony z nawiązką.

LECH PIJANOWSKI

O KINEMATOGRAFII NIEZNANEJ

W centrum Europy działa kinematografia nieznana. Nie wielka, to prawda, ale przecież funkcjonująca, a jednak nieznana. Nawet wśród fachowców branży filmowej niewiele się słyszy o kinematografii austriackiej. Niektórzy uświadamiają sobie, że to kinematografia produkująca niewiele więcej, niż zaledwie tuzin filmów rocznie i bardzo słabych; nie warto zajmować się ani dłużej, ani bliżej działalnością braci Marischków, speców od ekranizacji wiedeńskich operetek, którzy od wielu lat niczego innego nie robią, a to, co robią, jest wciąż jednako złe. Poza produkcją Marischków zaś nic się nie dzieje.

Tak właściwie było do niedawna, choć dziś jest tak już nie całkiem. Warto chyba zdać sobie sprawę z ciekawych, jak myślę, przyczyn takiej sytuacji, a także z niektórych objawów jej zmiany.

Zacząć wypada od stwierdzenia, że bynajmniej nie wszystkie filmy austriackie zawsze były złe — niektóre wskutek swych różnych walorów zdobyły nawet spore powodzenie w świecie, przysparzając w opinii widzów laurów kinematografii... zachodnioniemieckiej. Właśnie tak. Z dawniejszych filmów, na przykład, wyświetlany u nas „Ostatni most" reż. Helmuta Käutnera był filmem produkcji austriackiej — z nowszych filmem austriackim jest komedia „Julio, jesteś czarująca" reż. Alfreda Weidenmanna. Te i niektóre inne filmy są dość powszechnie uważane za zachodnioniemieckie.

Taki jest ostatni etap całkowitej i bezwzględnej zależności filmu austriackiego od Niemiec zachodnich. Austria jest krajem zbyt małym, by wpływy z eksploatacji rodzimego filmu wewnątrz kraju mogły zrównoważyć koszty jego produkcji (które są z kolei szczególnie wygórowane — dzień wynajmu atelier w Wiedniu kosztuje na przykład o 5000 szylingów drożej, niż to samo atelier w zachodnim Berlinie). Aby więc móc w ogóle produkować filmy, trzeba je robić od razu na eksport — NRF zaś jest rynkiem bliskim, tradycyjnym i niejako naturalnym (język niemiecki!).

Jeden z bardziej przedsiębiorczych austriackich producentów filmowych, Ludwig Polsterer stwierdzał szczerze, iż filmy austriackie nacelowane są niemal wyłącznie nie tylko na rynek zachodnioniemiecki, ale na specyficzną część tego rynku: kina prowincjonalne NRF. Te zaś mają swoje szczególne wymagania. Mało jest w Austrii producentów, którzy zaczynają robić film, nie mając w kieszeni umowy jego sprzedaży do NRF — bo to gwarantuje i zysk i spokój; jednocześnie to właśnie jest przyczyną powstawania tuzinkowych kryminałów, płaskich operetek i tzw. „heimatfilmów" (melodramatów strasznie miłosnych).

Poważna krytyka austriacka od dawna widziała, że sytuacja jest trudna — jak wiadomo bowiem, abstrakcyjne argumenty teoretyczne rzadko skutkują przeciw konkretnej groźbie strat finansowych; o planowanym i, rzeczowym mecenacie państwa mowy być nie może (nawet przypadkowym w istocie eksportem filmów austriackich do innych krajów niż NRF zajmuje się więcej efemerycznych firm eksportowych, niż powstaje rocznie filmów). Jakież więc wyjście?

Jeden z kierowników „akcji dobrego filmu" (odpowiednika naszego ruchu dyskusyjnych klubów filmowych), znany krytyk Kanagur-Kennedy nieraz w swych wywodach posługuje się jątrzącym i wymownym przykładem Szwecji; i kraj to i kinematografia równie jak Austria małe, a przecież Szwedzi dają sobie jakoś radę ekonomicznie i coś znacza artystycznie — nie są bowiem uzależnieni od jednego tylko i to stawiającego szkodliwe, bo prymitywne wymagania rynku eksportowego, lecz produkują filmy dla Szwecji i dla świata jednocześnie.

Austria musi rozszerzyć zasięg swego filmowego eksportu daleko poza rynek NRF — a tego nie da się zrobić jeszcze jedna słaba ekranizacją operetki, ani łzawym kiczem. Potrzebne są filmy ambitne, wartościowe artystycznie, o tematyce jakoś specyficznie austriackiej — wtedy sytuacja może się zmienić.

Na ekrany wiedeńskich kin wszedł film reż. Edwina Zboneka „3 listopada 1918". Jest to ekranizacja sztuki osiemdziesięcioletniego już dziś klasyka literatury austriackiej, Franza Theodora Csokora, poety, powieściopisarza, i dramaturga powszechnie uważanego za prekursora austriackiego ekspresjonizmu.

Sztuka Csokora (i film Zboneka oczywiście również) opowiada o rozpadnięciu się Austro-Węgier i upadku monarchii Habsburgów, o jedynym chyba w dziejach światowych fenomenie: jedna z armii biorących udział w pierwszej wojnie światowej w chwili zakończenia wojny nie powraca, jak inne armie, do swej ojczyzny, lecz rozpada się dosłownie: Czesi, Polacy, Węgrzy, Słowacy, Rumuni wracają każdy do siebie. Kończy się stara Austria, niełatwo zaczyna współczesna.

Akcja i sztuki i filmu dzieje się w górskim, położonym na odludziu ośrodku dla żołnierzy-rekonwalescentów. Reprezentują oni wszystkie nacje Austro-Węgier, wiodą dysputy i spory, wreszcie gdy ich państwo rozpada się, odchodzą każdy w swoją stronę.

Sztuka jest dyskursywna, dialogowa, niewiele w niej się dzieje. Film jest bardzo wiernym przeniesieniem sztuki na ekran; choć legitymuje się i walorami literackiego pierwowzoru i solidnym aktorstwem, nie jest filmem dobrym. Recenzent „Neues Osterreich", Otto Basil, pisał o nim: „To, co jest zaletą sztuki teatralnej Csokora — jedność miejsca, czasu i akcji — jest wada filmu... W sztuce niemal wyłącznie dyskutuje się, w filmie Zboneka również..."

A jednak „3 listopada 1918", choć nie jest filmem dobrym, wydaje mi się filmem ważnym — oznaczać bowiem może początek odnowy kinematografii austriackiej jako całości, pierwsze stanięcie na własnych, choć bardzo słabych jeszcze nogach. Jest to utwór serio, który nie usiłuje kokietować widzów niczym łatwym; także po raz pierwszy serio ekran kinowy korzysta z tradycji literatury i historii swego kraju. To oznacza, a w każdym razie oznaczać może wiele — w warunkach austriackich tak trudno jest przeciwstawić się całkowitej komercjalizacji kinematografii, że każdy akt odwagi w tej podstawowej sprawie zasługuje i na uwagę i na szacunek.

Nie sądzę, oczywiście, że kinematografia Austrii wkrótce zaskoczy widzów w świecie wybitnymi dziełami, szybko stanie się żywą sztuka filmową — powolny proces przemiany jednak rozpoczął się; może okazać się, że w centrum Europy działa kinematografia, którą warto będzie poznawać.

Nad czym pracują pisarze

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

O zamierzeniach pisarskich na przyszłość — w moim wypadku — pisać niebezpiecznie. W ubiegłym roku w podobnej wypowiedzi w jednym z pism, zapowiedziałem w swych planach „Poemat o wolności" — tymczasem, niespodziewanie dla samego siebie, przygotowałem do druku tomik fraszek. Przypuszczalny tytuł: „Zaulek fraszkobliwy". Czy i kiedy ujrzy on światło dzienne to również i moje pytanie pod adresem Wydawnictwa.

W miarę czasu — a czas ten płynie bardzo wolno i kapryśnie — rośnie teczka publikowanych w czasopismach wierszy. Jest to, oczywiście, materiał do przyszłej publikacji książkowej.

Dalszych planów nie chcę płoszyć przedwczesną zapowiedzią.

Odpominanie, czy rejestrowanie w świadomości Czytelników ankiety ostatnio wydanego tomiku: „Portret nieurojony" (Inst. Wyd. PAX, W-wa) jest bezprzedmiotowe z tej racji, że podobnie jak i poprzedni zbiór wierszy — jest wyczerpany.

ROMAN ŁOBODA

Czy Czytelnicy interesują się tym, co robi pisarz?

Niewątpliwie. Szczególnie, gdy chodzi o tzw. intymne sprawy. Spróbować by może... jakiś taki mały striptisik psychiczny, jak Sartre lub Williams?

— Więc dobrze — myślałem, ale się rozmyśliłem. Po prostu w czasie między zamysłem a realizacją wypowiedzi przeczytałem to i owo i stwierdziłem, że ludzie piszą zwyczajnie. O sobie. W Łodzi. Sportowcy i naukowcy, malarze i technicy. Czytelnicy interesują się, oglądają fotografie — a pisarze dopiero teraz... Dobra, niech naród wie, że i my mamy twarze. Żeby tak być Baszanowskim albo Walaskiem, to by i co więcej można było pokazać, a tak? Ale dobre i to.

Zatem: ostatnio wydałem (63 r.) „Wspomnienie drzewa" (tomik poezji). Że na wspomnienia jest popyt, to i poezję udało się jakoś przemycić. (Kocham drzewo, Moje hobby to stolarka).

Co, gdzie mam: w drukarni nagrodzoną powieść „Podwójny rozdział". Sądzę, że wzejdzie wiosną na rynku księgarskim.

W Wydawnictwie Łódzkim: tom opowiadań, które poleruję z uporem średniowiecznego czeladnika-sieroty.

W sercu: nadzieję, że od trzech lat „gotów" i za pośrednictwem radia, telewizji, prasy i krewnych zapowiadany tomik poezji pt. „Iluminacje wnętrz" ukaże się niebawem, zadając kłam tym, którzy twierdzą, jakobym zapomniał co to są żeńskie rymy.

Na sumieniu: (to byłoby najciekawsze!). Napisanie takiej książki, która by podobała się — później — mnie samemu.

Najtrudniejsze jest bowiem zdarcie tej ostatniej zasłony, tego listka figowego zakłamania, za którym rzeczy mają kontury własne.

KRONIKA Antytelewizyjna

TELE-DURNIEJE

Bodaj przed tygodniem odbył się teleturniej pod bardzo obiecującym tytułem „Wielcy współcześni". Lubię ten rodzaj audycji telewizyjnych. Uważam, że są one w równym stopniu kształcące co i rozrywkowe. Ale wspomniany wyżej teleturniej denerwował z dwu co najmniej powodów. Po pierwsze: denerwowali uczestnicy, i po drugie: denerwowali — redaktorzy. Uczestnicy nie wiedzieli rzeczy zdawałoby się oczywistych. Było wprost zawsty dzające, że żaden z biorących udział w audycji nie rozpoznał portretu Bertranda Russella. Ta twarz starego intelektualisty z niezwykle bystrymi oczami była tyle razy publikowana w pismach codziennych i tygodniowych, tyle razy pokazywana w dodatkach filmowych i w telewizji, że doprawdy każde dziecko potrafi ją nazwać. Tymczasem kilku wybranych asów patrzało w portret jak sroka w gnat i nikt nie zdołał odgadnąć, kto to taki. Ale do redaktorów audycji należy mieć również pretensję. Oto w pewnej chwili aktor wyrecytował fragment jakiegoś wiersza i rzecz polegała na tym, by odpowiedzieć, kto jest jego autorem. Ponieważ chodziło o „Wielkich współczesnych", trudno było zgadującym schodzić poniżej Tuwima. Aliści okazało się, że autorem wiersza jest Ernest Bryll. Aż mi przykro. Bo sam również nie wiedziałem, że jest to wielki współczesny. Teraz już wiem. Teraz obudzony o dwunastej w nocy, będę wiedział, że Ernest Bryll to jeden z wielkich artystów naszej współczesności. Powiedziałem na początku, że teleturnieje kształcą. I rzeczywiście — sami widzicie. A może po prostu są to tele-durnieje?

Ponieważ ocena zjawisk współczesnych nastręcza duże trudności i nie wiadomo jeszcze, kto z współczesnych jest wielki, a kto mały, najpewniejsze są teleturnieje, dotyczące historii i w ogóle spraw dawnych. Co do mnie — przepadam za audycjami na temat historii literatury i kultury antycznej. Od kiedy greka zniknęła ze szkół średnich, a łaciny naucza się tylko w niektórych typach liceów, znajomość starożytności staje się coraz rzadsza. Tym ciekawsze są audycje, sprawom powyższym poświęcone. I tym większe ogarnia zdumienie, kiedy do takiego telekonkursu staje człowiek młody i śpiewa jak z nut. Nie ulega kwestii, że są to maniacy, namiętni hobbyści, którzy na własną rękę, z własnej nieprzymuszonej woli studiują historię antyczną. Można by powiedzieć, że życie samo, w sposób niejako naturalny, reguluje ludzkie zainteresowania. Zawsze znajdą się tacy, co znać będą niepopularne dziedziny. Słowem: śpijmy spokojnie. Wiedza o starożytnej Grecji i starożytnym Rzymie nie zginie, chociażby nawet nikt nie znał greki i łaciny.

Porzućmy jednak te na poły akademickie rozważania, a zbliżmy się bardziej ku współczesności. Czy oglądaliście Państwo audycję poświęconą Helenie Mniszek? Tak, tak, tej od „Trędowatej", „Ordynata Michorowskiego" itp. powieści, za którymi dziś jeszcze gonią czytelnicy. Telewizja wpadła na genialny pomysł. Ponieważ od dawna już książki Mniszkówny są na wagę złota (kto nie wierzy, niech zbada), należało je przypomnieć. I rzeczywiście przypomniano. Kazimierz Rudzki pięknie odczytywał fragmenty, a aktorzy odpowiednio je potem „odgrywali". Tyle, że kawał się nie udał. Teksty miały być ośmieszone i wykpione. I słusznie, bo przecież to kicze nie z tej ziemi. Tak, ale dla wielu to najpiękniejsza literatura świata. Niejeden i niejedna wzruszyli się podczas tej audycji do łez. Przypomnieli sobie swoje dawne przeżycia z tej krzepiącej lektury. Nigdy nie zapomnę pewnego wydarzenia sprzed dwóch lat. Omawiana audycja wydobyła je z dna pamięci. W środowisku ludzi mniej więcej inteligentnych wygłaszałem prelekcję nt. „Dlaczego Trędowata jest zła literatura?" Przygotowałem się solidnie, mówiłem ponad godzinę a potem odbyła się dyskusja. Zabierało głos kilkanaście osób. Dyskutanci podnosili się z miejsca i w słowach pełnych żalu zwracali się do mnie w ten sposób: „Dlaczego pan zbeszcześcił książki Mniszkówny? Przecież to takie piękne. Miłość w „Trędowatej" i „Ordynacie Michorowskim" opisana jest czysto i idealnie. Nie tak jak dziś. Dziś wszystko brutalne i brudne, a w tych powieściach zupełnie inaczej. Dlaczego się dzisiaj tych książek nie wydaje? Rozchodziły by się one w milionach egzemplarzy. Zamiast rozmaitych bzdur, winno się wznawiać te piękne książki o wspaniałej i wzniosłej miłości".

Tylko jedna jedyna kobieta (nauczycielka) stanęła w owej dyskusji po mojej stronie i podtrzymała moje stanowisko. Powołała się przy tym na własne dorastające już córki i stwierdziła, że „Trędowata" i inne tego rodzaju powieści zupełnie do nich nie trafiają. Jak na blisko setkę obecnych na sali, nie była to dla mnie zbyt wielka pociecha, ale dobre i to. Okazało się, że podjąłem się „bohaterskiego" wyczynu, godząc się na wygłoszenie od czytu o literackiej szmirze. Albowiem ludzie kochają szmirę. Kochają i ubóstwiają. A jeśli w dodatku szmira staje się zabroniona, urasta ona do miana legendy. Wyznam, że ów odczyt był moim największym przeżyciem w ostatnich latach. Nie przypuszczałem, że sympatia dla książek Mniszkówny jest tak silna i tak wciąż żywa.

Kilka dni temu przeprowadzono w jednej z audycji telewizyjnych dyskusję na temat odwagi i bohaterstwa. Była to dyskusja raczej banalna i nieciekawa. Gdzieś kiedyś przeczytałem następujące zdanie: „Bohaterem jest nie ten, co jest nieustraszony, lecz ten, co się boi, a mimo to przełamuje swój strach i dokonuje czynów niezwykłych". Szkoda, że dyskutanci o tym zapomnieli.

JACEK WIERZBIŃSKI

Rys. Picasso

Książki nadesłane

Stanisław Zieliński — WYCIECZKI BALONEM nr 2, Czytelnik, cena zł 19.—

Jerzy Broszkiewicz — KSZTAŁT MIŁOŚCI, Czytelnik, cena zł 27.—

Anna Markowa — WIECZORY — Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 13.—

Józef Ozga-Michalski — PEŁNIA, LSW, cena zł 25.—

Leonilda Wyszomirska — DĄBROWA ZDUŃSKA ŻYŁA PRACĄ I PIEŚNIĄ — LSW, cena zł 26.—

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nikt nie uratuje wieśniaka

Maria Górecka i Józef Zbiróg

Albert Cobb został uratowany w czasie drugiej wojny światowej przez Johna Doyle, który wyniósł go ze strefy ognia za cenę własnego życia, czyli ciężkiej rany, odnawiającej się po latach i grożącej Doylemu nieuchronną przedwczesną śmiercią. Czy ofiara Johna nie była daremna? Czy uratowany Cobb zaznał w życiu szczęścia? Czy, jednym słowem, opłacało się ryzykować życie dla uratowania człowieka, któremu być może los zgotował krzyżową drogę?

Doyle czując się odpowiedzialny za los uratowanego Cobba, którego przecież niemal wyrwał ze szponów śmierci, przyjeżdża po latach z odwiedzinami, aby się przekonać, jak potoczyło się życie uratowanego przezeń człowieka. I tutaj okazuje się, że czyny nasze obracają się przeciwko naszym nadziejom, przeciwko nam. Tej wymowy sztuki nie mogą zmienić inteligentne próby tłumaczki amerykańskiego melodramatu Gilroy, Ireny Babel, która w artykuliku zamieszczonym w programie usiłuje przekonać widza, że „Kto uratuje „wieśniaka" jest w ostatecznym wydźwięku sztuką optymistyczną. Wbrew temu mniemaniu tłumaczki autor przez dwa akty dowodzi nam, że nikt nikomu nie jest w stanie pomóc.

Przybyły do Cobba z odwiedzinami John Doyle przekona się, że jego przyjaciel — aktualnie inkasent elektrowni — nie jest szczęśliwy. Nadzieja i wysiłki zmierzające do ustabilizowania sytuacji materialnej Cobba na fermie zakończyły się porażką, żona urodziła mu niemowlę-potworka, które wkrótce po urodzeniu zmarło. Małżeństwo nie jest szczęśliwe i znajduje się w przededniu rozbicia. Ale Cobb usiłuje ukryć przed swym wybawcą Johnem prawdziwy stan rzeczy i posuwa się do kłamstwa twierdząc, że dziecko żyje i przebywa na wsi, oraz starając się przedstawić swą sytuację materialną i małżeńską w różowym świetle. Również John Doyle występuje w fałszywej roli wziętego pośrednika w transakcjach nieruchomości na Florydzie i ukrywa prawdę o swym trudnym życiu i nieuleczalnej chorobie z powodu odniesionej rany.

Te fragmenty w pierwszym akcie, w których obaj przyjaciele występują w „maskach" rzekomego powodzenia życiowego, są najciekawsze i najlepsze pod względem dramaturgicznym i literackim. To prawdziwy teatr, w którym aktorzy wkładają, a następnie zdejmują swe „maski" na oczach widzów.

Niestety, sztuka posiada jeszcze drugi akt, w którym bohaterowie nie tylko odsłaniają nagą prawdę swego życia, ale w którym melodramat Gilroya traci związek z rzeczywistością, obracając się w granicach dowolności i zmyślenia nie korespondującego w jakikolwiek sposób z prawdą codzienną czy niecodzienną. Odnosi się wrażenie, jak gdyby drugi akt był pisany ręką innego dramaturga. Tutaj też sentymentalna beznadziejność sąsiaduje z próbami podparcia sztuki optymizmem i ociera się o fałsz. Bo jeśli autor usiłuje nam wmówić między innymi, że za cenę mechanicznego złudzenia, przez podstawienie cudzego dziecka za własne, można sprokurować śmiertelnie choremu Doyle'owi spokój, jeżeli nie — szczęście i upewnić go, że ofiara z jego życia nie poszła na marne, to chyba wszelka możliwość porozumienia się autora z widzami upada.

Niemniej, sztukę warto było wystawić choćby dla jej pierwszego aktu, który można odbierać jako utwór sam w sobie, bez wątpliwych perypetii melodramatycznych aktu drugiego.

Również gra aktorów i reżyseria w pierwszym akcie, dysponując wartościowym materiałem dramaturgicznym, mogły zapisać na swych kontach duże osiągnięcia. Dwie starannie opracowane postacie Cobba i Johna Doyle stworzyli Sławomir Misiurewicz i Józef Zbiróg. Również dobrze utrafiła w styl pierwszego aktu oszczędna w geście i słowie Maria Górecka. Wbrew opinii niektórych recenzentów jestem zdania, że tragiczna nieruchomość twarzy Heleny Cobb dobrze wyrażała tragedię młodej kobiety i nie była bynajmniej nużąca. To samo można powiedzieć o powściągliwej grze Hanny Małkowskiej.

W drugim akcie płaski sentymentalizm melodramatu pomieszał aktorskie szyki.

W roli Doktora wystąpił Marek Sobczyk. Mężczyznę grał — jak zawsze interesujący — Krzysztof Chamiec.

Reżyser Feliks Żukowski rozplanował z dużym nakładem pomysłowości zmieniające się sytuacje w momentach najwyższych napięć w akcie pierwszym, wydobywając beznadziejność w jej najczystszym wyrazie.

Syntetyczne dekoracje Ewy Soboltowej umiarkowanie podkreślały przygnębiającą atmosferę sztuki Gilroya.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Piękną, sfilmowaną nowelę „Tatarak" Jarosława Iwaszkiewicza pokazano nam na ekranie TV. Reżyser starał się zrobić wszystko, co mógł, w ramach telewizyjnej ekranizacji, żeby ocalić charakterystyczny dla tego opowiadania nastrój niedopowiedzeń i refleksji nad życiem, i zrobił wiele. Film oglądało się z dużym zadowoleniem. A jednak... Są takie niepowtarzalne pociągnięcia piórem i takie uroki lektury, jakich nie można przenieść najdoskonalszymi środkami przekazu mechanicznego. „Tatarak" trzeba przeczytać, aby ocenić w pełni całe jego piękno. Podobała się ogólnie dyskretna gra Rysiówny w roli głównej.

WTOREK

Wystawione przez Operę Łódzką „Verbum nobile" Moniuszki i „Janek" Żeleńskiego nie należą do najwybitniejszych utworów znakomitych kompozytorów. „Verbum nobile" to zabawny obrazek rodzajowy, nie pozbawiony akcentów satyrycznych, ale naiwny w układzie dramaturgicznym. W „Janku" również nie zachwyca ani dramaturgia, ani strona muzyczna. Pomimo to można było wysłuchać z zainteresowaniem obu spektakli, gdyż dyrekcja Opery dała utworom Moniuszki i Żeleńskiego nader atrakcyjną oprawę wokalną, choreograficzną i scenograficzną. Sądząc z dotychczasowych przedstawień innych dzieł muzycznych Opera Łódzka będzie bajecznie kosztownym przedsięwzięciem dla miasta, ale przyznać trzeba, że swe obowiązki reprezentacyjne spełnia jak przystoi wielkiej europejskiej scenie. Ano, cóż, jesteśmy drugim co do wielkości miastem w Polsce i nie możemy widocznie inaczej niż po staropolsku: Zastaw się a postaw się!

ŚRODA

Międzyzakładowy Dom Kultury przy ul. Piotrkowskiej 262 specjalizuje się w urządzaniu ekspozycji artystycznych. Ostatnio została otwarta w ramach „Galerii 20" (nazwa — od 20-lecia PRL) wystawa prac Andrzeja Szonerta, wychowanka pracowni prof. Modzelewskiego. Z szeregu obrazów utrzymanych w konwencji malarstwa nie przedstawiającego podobały mi się szczególnie „Narzeczeni", „Plaszczyzna" i „Pejzaż".

CZWARTEK

W Bibliotece im. Waryńskiego odbyło się interesujące spotkanie autorskie ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim. Poeta mówił o swoich związkach z Warszawą, o genezie Kwadrygi i o swym życiorysie literackim. W latach 1945—1946 Dobrowolski mieszkał w Łodzi. Z tamtych czasów pochodzi wzruszający wiersz „Dwaj przyjaciele" zaczynający się od strofy:

Zaprzyjaźniliśmy się bardzo
Powiedziałbym nawet — ogromnie
Z tutejszym kominem z Wólczańskiej,
Co wieczór zaglądał do mnie.

Warto zaznaczyć, że Dział Instrukcyjno-Metodyczny Biblioteki zorganizował już w tym roku cztery spotkania, z Hanną Mortkowicz-Olczakową, z Julianem Przybosiem, z Małgorzatą Hillar i St. R. Dobrowolskim.

PIĄTEK

Czy wiecie, Redaktorze, że po uruchomieniu łódzkiej Elektrociepłowni o 120 kominów mniej zadymia nasze miasto, i że dawniej chmura dymu o grubości półtora kilometra wisiała nad Łodzią i przez ten kożuch nie mogły się przebić promienie ultrafioletowe i że po Szczecinie jesteśmy najlepiej w kraju uposażonym w zieleń miastem i dążymy do powiększenia naszego stanu posiadania i pod tym względem? Czy wiecie również, Redaktorze, że na nakłady inwestycyjne w Łodzi przeznaczono w najbliższej pięciolatce niebagatelną sumę 14 miliardów złotych, za które w dziedzinie kultury zafundujemy sobie 25 bibliotek rejonowych i nowe skrzydło w przyciasnej już Bibliotece im. Waryńskiego itd. itd. O czym nader interesująco mówił przewodniczący Prez. RN m. Łodzi magister Edward Kaźmierczak na spotkaniu w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej.

SOBOTA

Otrzymałem następujący list: „Szanowny Arystarchu! Zaniepokoiła mnie część niedzielna Notatnika Kulturalnego z 26. III. br. Zaniepokoiła i zdenerwowała, bo zupełnie nie zgadzam się ze zdaniem wyżej wymienionego. Czyżby Szanowny nie rozróżniał odcieni entuzjazmu? Pan Weber miał całkowicie rację. Entuzjazm owszem, powinien być, ale jak wszędzie, wyrażony w sposób kulturalny, a trudno za kulturalne uznać zachowanie „szeregu melomanów" wymachujących marynarkami". Niestety, brak miejsca nie pozwala mi na zacytowanie listu w całości. Naturalnie, że wyrażanie uczuć entuzjazmu dla pianistów na Koncercie Czopenowskim w opisany przez Moją Sz. Korespondentkę sposób nie można nazwać kulturalnym. Ale winę za nieporozumienie ponosi prof. Weber, który jako sprawozdawca radiowy miał obowiązek „opisać" słuchaczom szczegółowo to, o czym dowiadujemy się dopiero z listu Jego Sz. Obrończyni, a nie ograniczać się do wyrażenia tylko swej cennej skądinąd opinii o niekulturalnym zachowaniu się młodych „entuzjastów" południowoamerykańskiej pianistki. Na tym zakończymy. Dziękuję! I proszę o dalszą korespondencję w innych sprawach.

NIEDZIELA

A tymczasem w MPK na odcinku kultury w dalszym ciągu źle się dzieje! Powtarzające się w prasie skargi na nieuprzejmość pracowników tramwajowych, lekceważenie potrzeb kulturalnych ludności, jeśli idzie o usługi MPK w związku z rozmieszczeniem przystanków, o czym pisałem niedawno! Ale oto, inny nowy dowód, tym razem braku zrozumienia i szacunku dla wartości słowa pisanego i poprawnej polszczyzny. W dniu 2 kwietnia br. (oznaczam ściśle dzień, gdyż mam nadzieję, że do czasu ukazania się tego felietonu błąd zostanie naprawiony!) na linii autobusowej nr 57, numer wozu 237 wyczytałem z przykrością nad drzwiami napis W y j ś ć i e. Pisze się w y j ś c i e, proszę Sz. Panów z Dyrekcji MPK, przez c, a nie przez ć. Jeżeli będziemy w dalszym ciągu pod każdym względem lekceważyli potrzeby kulturalne publiczności i poniewierali publicznie polską pisownię, to takie lekceważenie kultury może Was, panowie, zaprowadzić bardzo daleko, aż — do... Nie powiem dokąd. Domyślcie się panowie, sami.

ARYSTARCH

„TELEGRAF DŻUNGLI"

„Bum... Tep... Bum...!" Afryka, jak olbrzymi rezonator, rozbrzmiewa tym odwiecznym wezwaniem. Uporczywym, monotonnym, chwilami drażniącym. I gdy wszystkie inne dźwięki afrykańskiej dżungli stopniowo zacierają się w pamięci, ten jeden długo jeszcze pozostaje*)

Słyszałem mowę bębnów na długim szlaku od Sierra Leone do Boma. Słyszałem wędrując po Kongu, słyszałem w bezsenne noce, kiedy ich głuche dźwięki wzmagały się i cichły, drżąc w listowiu leśnej gęstwy. Biali nazywają język bębnów „telegrafem buszu"..

„Na początku bóg stworzył dobosza, później myśliwego i kowala" — głosi podanie jednego z liczniejszych plemion Zachodniej Afryki. Istotnie, ludy tego rejonu Afryki dosięgły wyżyn doskonałości: ich bębny dosłownie rozmawiają.

„Telegraf buszu" o którym wzmiankują tysięczne relacje i ludowe podania, nie jest mitem. Afrykański dobosz — przyjmijmy to nieadekwatne określenie — spełnia ważną funkcję społeczną, a wśród wielu plemion gra na bębnie jest jego jedynym zajęciem. Dobosze mają nawet swego boga — jest nim „księżycowy człowiek". Mówi się, że w okresie pełni księżyca można go nawet dostrzec jak siedzi trzymając pałeczki wzniesione nad bębnem.

Bez udziału bębna nie obejdzie się ani uczta, ani pogrzeb, ani rozmowy, ani tańce. Zastępuje on gramofon i orkiestrę, radio, telefon i telegraf razem wzięte. W dawnych, zamierzchłych i surowych czasach nowy bęben skrapiano krwią z ofiary ludzkiej. Uważano, iż bęben nie będzie „mówić" dopóty, dopóki nie usłyszy przedśmiertnego krzyku człowieka.

Spotyka się bębny wprost gigantycznych rozmiarów i gra na nich bywa częstokroć niebezpieczna. Po uderzeniu drewnianym młotkiem wibracja bębna jest tak silna, że nieumiejętny dobosz może doznać ciężkiego zwichnięcia stawu barkowego.

Z jakiej odległości słychać muzykę afrykańskich bębnów?

Tubylcy z rejonu wodospadu Stanley, na rzece Kongo, mieli bęben, którego mowę wprawne ucho chwytało i „czytało", szczególnie nocą, aż w Jatoku, dwadzieścia mil w dół rzeki. Myślę, że ten bęben ustanowił rekord dla Afryki. Oczywiście odgrywała tu rolę rzeka, zwiększając nośność dźwięku, tak samo jak na przykład wzniesienie terenu wpłynęłoby tłumiąco. Ogólnie rzecz biorąc, średnia słyszalność sygnałów bębna waha się w granicach — 5 mil za dnia i 7 mil w nocy. Falowanie rozgrzanego powietrza pogarsza słyszalność i jeśli afrykański dobosz musi przekazać pilną wiadomość na znaczną odległość robi to nocą, lub o świcie.

MUZYCZNY ALFABET

Wiele lat temu odbywały się w Ameryce mistrzostwa świata w boksie. Znany myśliwy, A. Russel, znajdował się w owym czasie w jednej z afrykańskich wiosek na granicy Konga, czterysta mil od najbliższego telegrafu. Opowiadał później, iż dowiedział się tam o zwycięstwie murzyńskiego boksera po upływie 14 godzin. Wiadomość, podrywająca prestiż białego człowieka, która dotarła na afrykański kontynent, została przekazana dalej za pośrednictwem bębnów — wtedy innego sposobu nie było — i szybko rozeszła się po tym ogromnym terytorium.

Stare podanie głosi, że tubylcy z Sierra Leone dowiedzieli się o upadku Chartumu tego samego dnia. Nie mam powodu wątpić w to, jak również i w to, iż ludy Zachodniej Afryki doskonale wiedziały o wojnie w Sudanie i uważnie śledziły jej przebieg. Należy pamiętać, że już w najdawniejszych czasach z Sudanu do Afryki Zachodniej prowadził przez Saharę utarty szlak karawanowy i Chartum znany był wielu ludom Zachodniej Afryki.

Głośny badacz i znawca bębnów plemienia Aszanti, kapitan R. S. Rattray, uczył się gry na tym instrumencie. Jest on z pewnością pierwszym Europejczykiem, który odkrył, iż nie jest to afrykański alfabet Morse'a, lecz specjalna „mowa" sygnalizacyjna, zdolna do odtwarzania samogłosek, spółgłosek, akcentów i znaków przestankowych. Jest to język muzyczny, w którym mowę ludzką transponuje się na takty muzyczne. Alfabet Morse'a, w porównaniu z tym złożonym językiem bębnów jest systemem bardzo prymitywnym.

Jak utrzymuje Rattray, plemię Aszanti przekazywało wiadomości przy pomocy bębnów na odległość dwustu mil, z niewiarygodną szybkością. Niegdyś mniemano, że w ten sposób można przekazywać wyłącznie proste informacje, jak urodziny, uroczystości weselne, śmierć, pożar, kierunek lotu szarańczy, polowanie, uczty, zbliżanie się białego człowieka. Jednakże Rattray wykazał, iż na bębnach można również „wygrać" całą historię plemienia. Nawiasem mówiąc doboszy z plemienia Aszanti uważa się w całej Afryce za niedoścignionych wirtuozów „telegrafu buszu".

W odległej przeszłości panował okrutny obyczaj: doboszowi, który, przekazując polecenia wodza, popełnił poważną omyłkę „w tekście" ucinano obie ręce. Dziś już wprawdzie tego obyczaju nie ma, niemniej w zapadłych kątach kraju, za niedbalstwo doboszowi obcina się... uszy.

MÓWIĄCY RATOWNIK

W naszych czasach Europejczycy wykorzystują bębny dla własnych celów. Na przykład kupcy mieszkający w Afryce utrzymują w ten sposób łączność z właścicielami odległych magazynów. Wiadomo mi, iż jednemu z nich udało się przekazać swemu koledze treść telegramu, w którym proszono go o niezwłoczne przybycie do Londynu najbliższym statkiem. Oczywiście telegram trzeba było parafrazować na język bębna. Transatlantyk brzmiał jako „wielka, za wiele wielka łódź", a Londyn, jako „wielka wieś białego człowieka, za wielką wodą". Za pomocą bębnów nie można przekazywać nieznanych Afrykanom pojęć i nazw. Nie można prosić o wezwanie, powiedzmy pana Simpsona, jeżeli nie ma on lokalnego przezwiska. Być może, dobosz pokona i tę trudność, wystukawszy „Szimiszono" — nazwisko Simpsona w miejscowej transkrypcji. Natomiast sprawa będzie całkiem prosta, jeżeli Simpson nosi okulary lub z lekka utyka. Możecie być przekonani, że teraz będą już o nim wiedzieć wszyscy mieszkańcy dżungli w promieniu stu mil.

Kapitanowie statków na rzece Kongo na co dzień uciekają się do pomocy bębnów. Do opalania kotłów używa się drzewa. Już na długo przed zawinięciem statku, dobosz powiadamia przystań, o której godzinie statek przybędzie i ile przygotować drzewa.

Po raz pierwszy zetknąłem się z językiem afrykańskich bębnów podczas moich podróży w górnym biegu rzeki Kongo. Pewnego wieczoru, po pracowicie spędzonym dniu, zawinęliśmy do niewielkiej przystani przy osadzie handlowej. Ledwie zeszliśmy na ląd, po złocistej tafli wody, wraz z leciutkim tchnieniem wiatru dobiegł naszych uszu ledwie dosłyszalny dźwięk: „tep... bum... ten..." — „Gadające bębny" — leniwie wyjaśnił kapitan. Już w chwilę potem wyrósł przed nami czarny marynarz i zamienił z nim kilka słów po francusku.

— Rozmawiały z nami bębny — szybko powiedział kapitan, zwracając się do mnie. Musimy płynąć dalej. Niżej znajduje się biały z żoną i dzieckiem. Wszyscy troje są chorzy i spieszą do szpitala w Albertville.

Ryk syreny i oto zygzakiem płyniemy już w dół rzeki. Jest zupełnie ciemno, gdy przybijamy do brzegu. Niedaleko dostrzegamy zarys budynków misji. Brodaty, biało ubrany duchowny katolicki wchodzi na pokład.

— Dobrze żeście przypłynęli — mówi z ulgą. Zdąża do nas administrator kopalni rudy wraz z rodziną. Zaraz tu będą...

PRZEŚCIGAJĄC WŁASNY CIEŃ...

„Bum... bum... bum...!" Dźwięki stają się coraz mocniejsze. Zbliżamy się do wioski. A oto i dobosz. Siedzi pod słomianym daszkiem i uderza w bęben. Jest to ogromny, wydrążony pień, długości dobrych dwunastu stóp, zdobny w grubą rzeźbę. Długa szczelina i „wargi" regulują tonację dźwięku na „męską" i „żeńską". Zrobienie takiego bębna — odwieczna, zdumiewająca umiejętność — wymaga prawdziwego mistrzostwa, równego sztuce odlewania dzwonów. Muzykolodzy nazywają je „gongami". Są drążone, podobnie jak kanoe i pewne plemiona nazywają je: „mówiące łódki". Wszystkie obciąga się skórą z ucha słonia.

„Ntumpanje" — tak nazywa mówiące bębny plemię Aszanti — są z reguły parzyste i noszą imiona męskie i żeńskie. „Męski" wydaje tony niskie i nieco przenikliwe. Przenikliwość tonu uzyskuje się, umieszczając na membranie bębna niewielką blaszkę. „Żeński" — ma wysoki ton.

Plemię Orboki, w Nigerii, używa kompletu bębnów (tzw. rodzina), który składa się aż z pięciu instrumentów. Największy nosi nazwę „byka". Dźwięki, wydawane przez „rodzinę" przypominają gdakanie kur, skowyt, ryk leoparda i gniewny ryk wędrownego słonia. Są jeszcze bębny „tange", robione z udowej kości zmarłego wodza; jej końce są obciągnięte skórą. Gra się na nich przy pomocy bambusowej pałeczki. Inne znów bębny — „udembo" robi się z ramy splecionej z prętów, obciągniętej skórą z kozła lub antylopy.

Przypatrzcie się uważnie twarzy afrykańskiego dobosza, kiedy gra na bębnie, a zobaczycie jak drga i zmienia się przy każdym uderzeniu. Nigdy nie udało mi się uchwycić subtelnej więzi między grą rysów jego twarzy i treścią przekazywanej informacji, chociaż jestem głęboko przekonany, że ona istnieje.

Bębny są środkiem „łączności międzymiastowej", lecz, niezależnie od tego są również szeroko stosowane do przekazywania informacji lokalnych. Oczywiście tubylcy mają do tego celu jeszcze i inne instrumenty. Lud Sunkwalla, bytujący na granicy Nigerii i Kamerunu, używa rogu wielkiej antylopy bawołu, a niekiedy również kłów słonia. Te instrumenty operują również dwiema tonacjami. Zadziwiające, że mogą na nich przekazywać informacje dwie, a nawet trzy osoby jednocześnie, gdyż rogi „rozmawiają" w różnych tonacjach dźwiękowych i na falach różnej długości. Dlatego też kilku mieszkańców tej samej wsi, rozłożonej po obu stronach doliny, może wieść równoczesny „dyskurs", bez obawy zagubienia się w tym splocie dźwięków.

„Tom... tom... bum... ta-ra-rat..: bum...!" Nic w tym dziwnego, że wieść o Europejczyku, przedzierającym się przez gąszcze afrykańskiej puszczy, wyprzedza go i biegnie przed nim tak szybko. Biały człowiek słyszy dźwięki „telegrafu dżungli", i to wszystko. Afryka słyszy je i rozumie... (s)

*) Z książki L. Greena, która ukazała się niedawno w Londynie pt. „Ostatnie tajemnice starej Afryki".

Lewym okiem

KOWALSKI MOWA TRAWA

Wszystko dzieje się teraz tak szybko; fortuny migają w oczach, trzy-cztery razy w życiu człowiek, jak to mówią, staje na nogi, pada na twarz, znów się dźwiga, aż w galopie wielkim, nie wiedząc kiedy — przechodzi na rentę. W dawnych — a znowu nie tak bardzo dawnych — czasach odbywało się to całkiem inaczej. Stan posiadania narastał powoli, przez kilka pokoleń: dziad stolarz przekazywał swój warsztat synowi stolarzowi, wnuk już miał z tego warsztatu fabryczkę, prawnuk przyjmował wspólników, studiował ekonomię po całej Europie, wracał do produkcji mebli i trumien.

Gospodarstwa rolne przechodziły z pokolenia w pokolenie; tu prosty demograficzny rachunek powodował zmniejszanie się szans, kurczyły się zagony powoli a nieuchronnie, tak powoli, że wnukom wydawało się to wieczystą gwarancją ich stabilnego bytu. Wreszcie zakotłowało się wszystko, nabrało niesamowitego tempa i nikt już poza własne życie osobistych swych starań i wysiłków nie rzutuje. Apres nous — le deluge. Po nas — choćby potop. Syn zaczyna wszystko od nowa; po swojemu, nie kontynuuje pracy starego. Wymyśla sobie zawód albo brak zawodu, pryska z gospodarstwa, ma w nosie warsztat, zwłaszcza że w szkole dość mu nagryźli w oczy prywatną inicjatywą, bimba na zawód rodzica, który do niczego go nie doprowadził poza żylakami, sterczącą łopatką i rentą. Bezpieczną rentą, owszem, ale w oczach młodego człowieka nie mającą siły napędowej dla życiowych ambicji.

O konieczności istnienia takich sił może innym razem. Tymczasem chcemy mówić o enklawie społecznej, gdzie naśladowanie rodziców przybrało niepokojąco na sile, a dziedziczność zawodu staje się niekiedy intrygująca. Mianowicie o zawodach twórczych.

Może już w tym przymiotniku tkwi sprzeczność. Poetą się przecież nie jest — poetą się bywa. Nie można więc powiedzieć, że ktoś jest z zawodu poetą, a znowu nie można niczym z zawodu bywać, t.zn. być od czasu do czasu. A właśnie to bywanie — poetą, malarzem, artystą, reżyserem — bardzo się ludziom widać podoba, skoro działalności tej oddają się całe rodziny, całe nieomal klany.

Rodzina, jak wiadomo, obdarzona jest przez los tym samym nazwiskiem. Rodzina poza tym ma swe ulubione, tradycją obciążone imiona, a zresztą imion naprawdę używanych, nie udziwnionych, nie ma przecież tak wiele. Stąd od razu konflikty: czterech Janów Kowalskich (stryj, ojciec, syn, brat), trzy Zofie Kalinowskie (kuzynki), pięciu Andrzejów Nowaków (jeden z innej linii). Niedobrze. Pomyłą honoraria w Zaiksie, osmarują przez pomyłkę w recenzji, pochwalą nie tego co trzeba. Więc sięgamy do drugich imion.

Ba, miałem w podstawowej szkole dwóch kolegów Kowalskich Lucjanów. Rozróżniano ich według drugich imion: Kowalski Lucjan Wacław — do tablicy! Ale po roku przyszedł jeszcze jeden Kowalski — tym razem Wacław, a na drugie Lucjan. Kupa śmiechu. Gdybyśmy byli Hiszpanami, każdy miałby trzynaście imion i sprawa byłaby rozwiązana.

Cóż jednak zrobić u nas, gdy literatom pochodzącym z rodzin wielodzietnych przestaną lada dzień wystarczać dwa imiona? Kowalski Lucjan Wacław będzie w publicznej polemice mieszał z błotem Kowalskiego Wacława Lucjana i nikt się nie domyśli, czy to dwóch ludzi, czy jeden podwójnie dowcipny. Co robić? Mniej pisać? Zmienić nazwisko?

Skoro okazało się, że administracyjno-umowny znak, jakim jest nazwisko, stanowi niewątpliwy stygmat szczególnych uzdolnień umysłu i charakteru, skoro ten znak umożliwia krewnym i powinowatym wejście do grona wtajemniczonych oraz do kartoteki Zaiksu, to jedyna rada: pseudonimy! Albo po staropolsku: przydomki. Na przykład: Kowalski Panie Kochanku. Kowalski Mowa Trawa. Kowalski No To Cyk.

No i powiedzcie: czy taka wierność zawodowi ojców nie jest czymś co zmusza do szacunku, a przynajmniej — do zastanowienia?

CWIEK
WŁODZIMIERZ JAN

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 963.IV.65. N-13